

Jacek Komuda

OPRAWCA

Egzekucja

Morze uderzało wściekle o burty statku, bryzgi piany z fal strzelały w górę, zalewały mokry pokład galeonu. Wysoko w górze wiatr szarpał zniszczonymi żaglami i ciałami wisielców. Na rejach świeże, napuchnięte trupy kiwały się pospołu z wyschniętymi zwłokami sprzed miesięcy. Martwe, szkliste oczy patrzyły na główny pokład. Nad głowami zmarłych łopotała piracka flaga. Wymalowany na niej kościotrup z kosą machał się na wietrze do taktu wisielcom.

Na pokładzie oberwani, poznaczeni bliznami piraci prowadzili w stronę grotmasztu młodego chłopaka w postrzępionym rajtroku. Jeniec nie był związany, ale nie szarpał się. Nie miał dokąd uciekać. Zewsząd otaczały go plugawe, zarośnięte gęby morskich rozbójników, z głowami nakrytymi chustami i porwanymi kapeluszami. Wzrok młodzieńca prześlizgiwał się po kikutach rąk i nóg poprzewiązywanych zakrwawionymi bandażami, po nieruchomych, czerwonych od pijaństwa twarzach.

Podprowadzono go do zakrwawionego, katowskiego pieńka przy grotmaszcie. Majtkowie złożyli na nim lewą rękę chłopaka, przycisnęli ją mocno do pniaka.

Kapitan dał znać. Jeden z piratów podniósł w górę kordelas. Zawahał się.

– Tnij! – syknął szyper.

Ostrze załśniło złowrogo, a potem ze świstem opadło w dół. Okrzyk bólu wstrząsnął pokładem okrętu. Piraci spuścili wzrok.

Na katowskim pieńku leżała lewa dłoń chłopaka...

Zdrada ladacznicy

Kapitan John Bartholomeu Rackham, zwany przez kamratów i swoją piracką załogę Johnnym Szczęściarzem, pływał. Niestety, na razie nie po szmaragdowych wodach Karaibów. Zanurzał się bowiem w balii, napełnionej wodą z mydlinami, na piętrze w zamtuzie „U mamy Fratelli” w równie osławionym, co plugawym Port Royal na Jamajce. Kapitan pochylił głowę, aby Boney, najdroższa dziwka w burdelu, mogła polać mu głowę wodą ze srebrnego dzbana. Dziewczyna usiadła na brzegu balii tuż za plecami Rackhama, a gdy mężczyzna strząsnął z czoła krople wody, położyła mu dłonie na ramionach i poczęła masować je delikatnymi ruchami. Schyliła się tak nisko, że John poczuł woń orchidei wetkniętej w jej czarne włosy.

– Ach, mój panie – powiedziała. – Jakże miło widzieć cię znowu.

Jak zwykle kłamała.

– Nie narzekałaś chyba na brak towarzystwa. – Skrzywił się Rackham. – Nie było mnie

raptem trzy miesiące. Z gachów, których miałaś co noc, dobry kapitan skompletowałby załogę niejednego brygu.

– Ależ panie – wyszeptała mu prawie do ucha, a prawdę powiedziawszy, musnęła je językiem (i to bynajmniej nie trochę). – Cóż ma począć biedna, samotna kobieta w tak strasznym miejscu jak Port Royal? – Porzuciła masowanie pokrytych bliznami pleców Rackhama, aby dotknąć wargami jego szyi. – Mój panie, nie odepchniesz mnie, gdy dziś w nocy przytulę się do twojego boku?

– Co komu pisane, to go nie ominie – mruknął Rackham.

Boney paplała dalej, o pół głosu wyżej niż zwykle. Od dłuższej chwili nie uchodziło to uwagi Johnny'ego Szczęściarza. Instynkt, dzięki któremu ciągle tułał się po morzach Indii Zachodnich, nie zawiódł go i teraz. Boney była dla niego aż za miła, a mówiła stanowczo za wiele i zbyt głośno. A wszystko po to, by czujne ucho kapitana nie dosłyszało dochodzącego z dołu i zbliżającego się powoli złowieszczonego stukotu drewnianej nogi...

Rackham westchnął i poszukał wzrokiem cutlasa. Nigdzie nie dostrzegł broni ani pendentu, na którym nosił lewak. Powoli wszystko stawało się jasne. Ale cóż, był przygotowany nawet na taką ewentualność.

Stukot zbliżał się, Rackham rozejrzał się dokoła. Piętro zamtuza mamy Fratelli było w zasadzie jedną wielką salą, którą podzielono kotarami na małe, zaciszne alkowy. Tego skwarne popołudnia na początku czerwca roku pańskiego 1683 w bajzlu nie było wielu gości. Chyba nawet Rackham był jedynym klientem. Ciekawe jednak, gdzie przepadł Robert, jego sługa? Czyżby obściskał w kuchni służącą? W tym portowym mieście i w tym miejscu Rackham nie mógł wykluczyć, że chłopak gzi się z dziewczką podesłaną mu przez mamę Fratelli, jak i tego, że właśnie leży w rynsztoku z nożem wbitym w plecy.

– Boney – rzekł cicho. – Będziemy mieli gości.

Piękne, ciemne oczy ładacznicy zrobiły się okrągłe. Zupełnie jak gdyby nie wiedziała, o co chodzi. Jakaż była niedomyślna... Ale Rackhama nie sposób było zwieść. Johnny Szczęściarz naprawdę miał szczęście.

Z łoskotem trzech podkutych butów i stukotem drewnianej nogi na spróchniałych deskach do alkowy wkroczyło dwóch mężczyzn. Pierwszy był średniego wzrostu, zgarbiony i postarzały. Miał brodę przeplataną warkoczykami i ogorzałą od słońca twarz, a właściwie pół twarzy, gdyż drugą połowę jego zniekształconego, pokrytego bliznami oblicza zakrywała szeroka, marynarska chusta i przekrzywiony na bok kapelusz. Mężczyzna kuśtykał na drewnianym kulasiu. Drugi z niezapowiedzianych gości był wyższy, przyodziany w niegdyś dostatni, wyszywany jedwabiem kaftan. Dziś jego strój przypominał łachmany, którymi dziewczki służebne mamy Fratelli ścierały z podłogi rozlany rum, wino i krew. Obaj piraci trzymali dobyte z pochw kordelasy.

Kapitan Rackham znał obu jegomościów aż za dobrze. Kuternoga był sławnym okrutnikiem

i grabieżcą, holenderskim piratem znanym jako Bernhardt Van Beltroop. Lewą nogę urwała mu przed laty kula z dwunastofuntówki. Towarzyszył mu niejaki Jim Darkweld, zwany z kolei Sinogębym od częstego nadużywania rumu – słaby korsarz, lecz bezwzględny okrutnik, którego na Hispanioli zwano czasem Darkweldem Cyrulikiem. I bynajmniej nie dlatego, że potrafił sprawnie wyrywać zęby...

– Mynheer Rackham! – Beltroop wyszczerzył się, ukazując poczerńiałe pieńki. – Cóż za miłe spotkanie!

– Szukaliśmy pana kapitana cały miesiąc – dorzucił Darkweld. – I jużemy się martwili, że nie znajdziemy Johnnynego Szczęściarza wśród żywych. I proszę, Opatrzność Boża czuwała nad wami, mości kawalerze. Nie tylko żywiście, ale i bawicie się zacie, i kąpieli zażywacie w towarzystwie damy. Nie będzie to zacna śmierć dla kapitana... Ale że żeglarzem byliście kiepskim, tedy zamiast na merchancie czy galeonie, pójdziecie na dno w zwykłej balii.

– Po prawdzie – rzekł Rackham – to nie szukałem waszego towarzystwa, panowie.

– I niesłusznie, bo kto szuka – he, he, nie błądzi. – Darkweld bezceremonialnie podniósł do ust dzban z winem, którego Szczęściarz nie zdążył jeszcze popróbować, i pociągnął spory łyk. Czknął z powagą, splunął i otarł wargi wierzchem dłoni. – Onegdaj w Zatoce Czarnych Świń my także szukaliśmy jaśnie wielmożnego pana Rackhama przez całe dwa tygodnie.

– I jakież było nasze zdziwienie – uzupełnił wywód Darkwelda kuternoga Van Beltroop – kiedy zamiast waszej fregaty, mynheer Rackham, pojawiły się trzy francuskie galeony wojenne. Nieladnie to z waszej strony, panie Szczęściarzu.

Rackham postanowił zagrać w otwarte karty.

– Znacznie gorzej byłoby – zaczął – gdybym popłynął z wami na Petit Goave, jak stało w umowie. Tam czekał już na mnie hiszpański gubernator, cztery setki żołnierzy i świeżo narychtowana szubienica. A ja przecież bardzo nie lubię przeciągów, mynheer Beltroop.

– Zdradliwa to rzecz przeciągi. A i wy tutaj przecie świeżo po kąpieli... No, nie trwóście się, panie. Choćbyśmy teraz okna otworzyli, to – wierzajcie mi, kapitanie – tym razem kataru się nie nabawicie!

– A gdzież to macie broń, panie Szczęściarzu? – zapytał Darkweld z udawaną troską w głosie. – Ha, nigdzie nie widzę tutaj waszego gdańskiego cutlasa... Gdzie go zgubiliście?

Rackham utkwiał oskarżycielski wzrok w Boney. Ladacznica drgnęła i spuściła głowę.

– To bardzo źle, że posialiście gdzieś broń, mynheer Rackham – cmoknął Van Beltroop. – Bo my tu gadu-gadu, a tam w szynku „Pod ślepym komodore” czeka na nas zacna kompanija. Kończyć nam trzeba to, cośmy zaczęli. – Holender postąpił ku balii.

Szybkim, zdecydowanym ruchem Rackham wyciągnął rękę spod wody. W jego dłoni błysnął pistolet.

– Cofnąć się, pod ścianę! – syknął Rackham. – No już! Ruszać się.

Piraci zamarli.

– No, no, mynheer Rackham... – Van Beltroop pokręcił z niedowierzaniem głową. – Chybaście z najwyższej rei na pokład na łeb upadli. Chcecie zabić nas z mokrego pistoletu?

– Ten półhak – wycedził Johnny Szcęściarz – nie boi się wody. Zrobił go dla mnie monsieur Jean Le Douc, francuski mistrz rusznikarzy z Martyniki. Krzesiwo i panewka są zamknięte w metalowej puszcze, a ząbkowany zatrzask chroni proch przed wysypaniem się z panewki. Dzięki temu – Rackham uśmiechnął się szeroko – pistolet może strzelać nie tylko wtedy, gdy zanurzy się go w morzu, ale nawet w balii w tym plugawym zamtuzie.

– Mynheer Rackham – rzekł pojednawczo Holender. – No, daj spokój. Na żarty nam się zebrało. Ot, przyszli my, aby po przyjacielsku pogawędzić, stare dzieje sobie przypomnieć, a ty nas straszysz pistoletem. I po co? Wszak my o dawnych urazach już zapomnieliśmy, prawda, mynheer Darkweld?

– A ja ciekawym wielce, panie Rackham. – Zagadnięty pirat oblizał spieczone wargi. – Na którego z nas tę kulę przeznaczyć chcecie. Bo wszak tylko jedną macie w pistolecie?

– Na was, panie Darkweld! Boście odważniejsi.

Pirat zawahał się, zadrżał, ale kuternoga skoczył w stronę balii, biorąc szeroki zamach kordelasem. Rackham pociągnął za spust i...

Strzał nie padł!

Piraci wrzasnęli gromko i rzucili się w stronę Rackhama. Van Beltroop z prawej, a Darkweld z lewej strony. Zabłyśły kordelasy i opadły w dół, aby przeciąć nić życia Rackhama, ale Szcęściarz był szybszy!

Jednym błyskawicznym ruchem Rackham przechylił się, rzucił w bok, wywracając koryto. Brudna woda chlusnęła na deski zamtuza, a balia przewaliła się, podcinając Van Beltroopa. Holender krzyknął, zatoczył się, jego drewniany kulas pośliznął się na podłodze pokrytej warstwą wody z mydłem. Pirat przewrócił się, wyrzwał głową w deskę, pojechał po podłodze, a Rackham przeskoczył nad nim, wymknął się cudem spod ostrza Darkwelda i, biegnąc nago wzdłuż kotary, wrzasnął głośno na sługę.

– Robert!!! Bywaj tu!

Uskoczył, gdy z boku rzucił się nań Darkweld, wywijając opętańczo kordelasem. Rackham rozejrzał się. Gdzie, do diabła, był jego cutlas! Gdzie ta dziwka go ukryła?!

Przeturlał się po podłodze, wpadł pod kotarę oddzielającą alkowę od reszty sali. Darkweld ciął wręcz, potem wlew, zamierzył się z zamachu. W ostatniej chwili ręka Rackhama chwyciła ucho srebrnego dzbana. Kapitan zasłonił się nim, przeturlał dalej, rwąc zasłonę. Rozwścieczony Darkweld wpadł za nim do sąsiedniego pomieszczenia.

– Robert! – krzyknął Rackham najgłośniejszym głosem. – Robert! Do mnie!

Darkweld ciął wlew z całej siły, Rackham uchylił się zwinnie jak tancerka, uszedł spod

ostrza, które opadło na kotarę, rozpruło ją prawie od sufitu do podłogi. Przeciwnik ryknął głośno i ciął znowu, lecz nie trafił, zamotany w strzępy materiału. Od uderzenia rozleciał się na kawałki stolik z kielichami, pękła poręcz trzymająca kolejną zasłonę. Rackham znowu zastawił się dzbanem. Darkweld ciął niby drwał rąbiący drzewo. Od uderzenia naczynie rozpadło się w rękę Szczęściarza. A z tyłu... Zza pleców Rackhama jak na złość dobiegł skrzyp i łoskot drewnianej nogi Van Beltroopa. To doprawdy nie było pomyślnie popołudnie dla Johnny'ego Szczęściarza.

– Stevenson! Przestań chędożyć dziewczkę! Cutlas! Daj mi cutlas!

Coś świsnęło w ciemności, brzęknęło, padając pod stopy Rackhama. Kapitan schylił się, porwał ostrze spod nóg.

– Broń się, panie! – usłyszał głos Roberta. Sługa stał na schodach, wpatrzony w piratów.

Kapitan zwinnie wywinął się spod Darkwelda i Beltroopa. Skoczył w bok, a potem ruszył z młyńcem na kuternogę. Teraz, gdy miał broń w rękę, znów był Rackhamem Szczęściarzem. Odbił w locie ostrze holenderskiego kordelasa i ciął po rękę Beltroopa.

– Wyciągać kulasy, stare diabły! – ryknął wesoło. – O, wy kurwy, rury, stare dziady! Ruszać się wam nie chce?!

Beltroop zawył i runął na kapitana ze wzniesioną bronią, brnąc przez zwały płótna, skorupy garnków i poprzewracane misy. Wskoczył na łożę, a wówczas Rackham zwinnie szarpnął za postrzępioną narzutę. Holenderski pirat zawył, zamachał w powietrzu drewnianym kulasem, a potem padł na plecy. Zanim zdążył się zerwać, Rackham wsadził mu ostrze kordelasa pod brodę. Beltroop zakrzuszył się własną krwią, zacharczał, próbował jeszcze wstać, ale bezskutecznie. Przekręcił się na bok i tak pozostał, w kałuży krwi.

Rackham skrzyżował broń z Darkwoldem. Teraz poszło mu szybko. Stary pirat walił kordelasem jak cepem. Rackham złożył się do zastawy, odpowiedział krótkim ciosem wlew, a potem jednym szybkim ruchem przerzucił broń do lewej ręki i chlasnął Darkwelda po oczach.

Korsarz zawył. Oślepiiony krwią rzucił się na Rackhama. Kapitan zszedł mu z drogi, skulił się, podciął nogi, a potem walnął ręką w głowę. Stary pirat poleciał przed siebie jak kula wystrzelona z kartauny, wyrznął głową w okienko, przewalił się na drugą stronę i po przekrzywionym okapie stoczył na ulicę. Chciał wstać, ale w tej samej chwili tuż nad nim rozległo się chrapanie koni. Rozpędzony powóz wpadł na gramolącego się z kolan pirata. Cztery podkute kopyta wbiły Darkwelda w śmierdzący bruk Port Royal. Potem przetoczyły się po jego ciele koła karocy. Doprawdy, Darkweld był chyba najbardziej pechowym piratem w tym przeklętym mieście.

Rackham podszedł do drzwi. Przez chwilę mierzył się wzrokiem z Boney. Ladacznica pisnęła ze strachu i rzuciła do ucieczki. Nadaremnie! Kapitan dopadł ją w trzech krokach. Chwycił za włosy i przyciągnął bliżej.

– Zdradziłaś mnie, ty suko! – wycedził. – Sprzedałaś Darkweldowi i Beltroopowi! Zapłacę ci

za to!

Odrzucił ją od siebie. Krzyknęła i chciała uciekać, ale zanim zrobiła krok, kapitan ciął ją w twarz cutlasem, rozcinając czoło, brew i policzek aż do kości.

– Teraz nie zechce cię nawet pijany żebrak! Masz za swoje!

Boney zawyła. Upadła na kolana, trzymając się obiema rękami za oszpeconą twarz. Wyła i złorzeczyła.

Rackham przywołał gestem Roberta. Podeszedł do okna i wyjrzał. Na środku ulicy stała szykowna karoca. Kapitan od razu poznał ten pojazd.

Skrzypnęły drzwiczki. Na schodkach pojawiły się najpierw delikatne, safianowe pantofelki ozdobione srebrnymi klamrami. Potem jedwabne pludry, piękny kaftan wyszywany złotą nicią, ozdobiony koronkami u wylotów rękawów. Później ręka dzierzżąca gałkę mahoniowej laski. Z ciemnego wnętrza wygramolił się młody, szczupły mężczyzna z przystrzyżoną w szpic bródką. Oczy podmalowane miał czarną barwiczką. Długie, misternie trefione włosy, wymykające się spod kapelusza, splecione były w kilka warkoczyków ozdobionych kosztownymi koralami i błyskotkami.

Mężczyzna spojrział na wybite okno zamtuza, w którym stał nagi Johnny Szczęściarz, a potem skrzywił się.

– Monsieur Rackham! – rzekł z wyrzutem. – Niegrzeczny chłopcze! To ja cię szukam po całym Port Royal, a ty znowu nurzasz się w pijaństwie i rozpuście w miejskim burdelu. I w dodatku bratasz się z pospólstwem!

Tu przerwał i z obrzydzeniem trącił końcem laski leżącego pod kołami karocy, zdychającego z pianą na ustach Darkwelda.

– Mon Dieu! – Elegant załamał ręce. – Dopiero południe, a ten już pijany! A fe! Przystajesz z prawdziwym motłochem, kapitanie!

Rackham szybko narzucił na siebie koszulę i szarawary, chwycił pod pachę kaftan i kapelusz, w drugą rękę wziął pas i cutlas. Coś mu nie pasowało.

– Robert, a gdzie moja sakiewka?

– Nie było jej, sir! – zameldował służący. – Pewnie ukradli!

Rackham zmełł w ustach przekleństwo. Wzwał buty. Nie chciało mu się schodzić schodami, więc wyskoczył oknem wprost na drewniany okap nad wejściem. Drewniana konstrukcja zatrzęszczała, na ziemię posypały się dachówki, ale wytrzymała.

Stevenson, który poszedł w ślady swego pana, miał mniej szczęścia – wywinął kozła i zwałił się na piasek. Jednak Rackham zgrabnie wylądował tuż przed elegantem. Doskonale znał wymalowanego jegomościa. Był to Thomas Cunningham, zwany Czarnym Rothem albo za plecami Timem Sodomitą. Dla nikogo z morskiego bractwa nie było bowiem tajemnicą, że dowódca brygantyny „Roanoke” łasy był bardzo na wdzięki młodych chłopców. I nawet w czasie

rejsu trzymał na swym statku kilka męskich dziwek. Jednak w Port Royal, największej stolicy rozpusty w Indiach Zachodnich, nie robiło to na nikim wrażenia.

Przywitali się uściskiem ręki. Czarny Roth wskazał otwarte drzwi karocy.

– Monsieur Rackham – rzekł. – Zechciej udać się ze mną do szynku „Pod krzywym ryjem”. Mamy do obgadania kilka kwestii. Niezwykle ważnych, ma się rozumieć.

Rackham bez namysłu wskoczył do pojazdu. Znał Cunninghama wystarczająco długo, aby wiedzieć, że zacny Thomas na pewno nie niepokoiłby go w jakiejś błahej sprawie. Zresztą Roth był groźnym piratem. Ten dupkowany, sfrancuziały człowiek potrafił zabić człowieka w czasie szybszym niż potrzeba na zdmuchnięcie świecy, a załoga jego brygantyny rzadko kiedy wracała z rejsu z pustymi kabzami. Wskoczył więc i skinął na sługę, aby zajął miejsce obok niego.

– Widzę, że nasz dzielny Robert zmężniał – rzekł Cunnigham i pieszczotliwie poklepał młodego Stevensona w okolicy kolana. – Kapitanie, czy nie czas już, aby twój sługa stał się prawdziwym mężczyzną?

– Zostaw Roberta, sodomito! – warknął Rackham.

Znudzony uśmiech zagościł na obliczu Cunninghama.

– W moim towarzystwie, monsieur Rackham, nie musisz używać żargonu portowej hołoty. Nie chciałbym być natrętny, ale zdecydowanie wolę określenie „pederasta”.

Rackham pokręcił głową. Czasami naprawdę miał dość arystokratycznych manier Cunninghama.

– A cóż to za sprawa, którą chcesz ze mną omówić?

Czarny Roth zatrzepotał zalotnie rzęsami, a potem wymownie skinął na Roberta.

– Poczekaj, monsieur – rzekł. – Za chwilę będziemy „Pod krzywym ryjem”. Zawierzaj mi, że chcę przekazać ci naprawdę poufne informacje.

Talary mają lepszy smak od wiary

– Pan Rackham, pan Cunnigham. – Joshua Joskowitz, gdański Żyd, który prowadził w Port Royal tawernę i skład win, a tak naprawdę zaopatrywał pirackie okręty, podniósł w górę kościsty paluch. – Ja witać szanowny pan w moja skhomna tawehna. Ja witać, bo ja mieć intehes. Bahdzo zacny intehes.

Siedzieli przy szklanicach brandy w małym pokoiku na tyłach szynku „Pod krzywym ryjem”. Od niepamiętnych czasów Joskowitz załatwiał tu interesy, za które ludziom z jego nikczemnego stanu groziła prosta i jakże skuteczna kara – konopny stryk dobrze nasączony oliwą, lub – gdyby wpadł w ręce Hiszpanów – bolesna i śmiertelnie powolna garota.

– Do rzeczy – mruknął niechętnie Rackham i wychylił zawartość szklanicę jednym haustem.

– Ostatnim razem, gdy miałeś do mnie interes, moja fregata przez dwa miesiące stała w doku, bo jakimś dziwnym trafem przy merchancie, który niby miał podróżować samotnie, znalazł się francuski okręt wojenny. Informatorzy, Joskowitz, którzy zdobywają dla ciebie wieści, to lenie, głupcy albo pijacy, których pierwszy lepszy hiszpański szyper wyprowadzi w pole.

– Tym razem jednak – Żyd skulił się – tym razem pan kapitan ma mnie wysłuchać. Ja wiedzieć, staję Joskowitz się mylicz, ale błędzenie jest rzecz ludzka. Ale teraz ja mówię prawdę, sama prawda i tylko prawda. I jeśli pan kapitan wysłuchasz, to pan kapitan będzie bogaty że ho, ho!

– Allez! – Cunningham odpędził kilkoma pacnięciami swej śnieżnobiałej chusteczki tłustego, czarnego szczura, który dobierał się do jego kielicha z brandy.

– No więc co tym razem wymyśliłeś, Joskowitz? – Rackham dolał sobie trunku. – Może chcesz, abyśmy napadli na armadę skarbową? Albo na dwór wicekróla Havanny? Chętnie o tym posłucham.

– Jest taki hiszpański galeon – wtrącił niepewnie Cunningham. – Wypływa z Maracaibo. A wiezie pod pokładem beczki, w których jest jakieś szesnaście tysięcy dublonów w złocie. O tym właśnie statku chcielibyśmy z tobą porozmawiać, monsieur kapitan.

Jeśli Cunningham myślał, że Rackham zakrztusi się teraz z wrażenia, to grubo się pomylił.

– Ciekaw jestem zatem – czknął Johnny Szczęściarz – co robi tyle złota na jednym nędznym galeonie? A może gubernator Maracaibo chce ofiarować je jako jałmużnę piratom? No cóż, pomagając takim łotrom, nie zyska zbyt wielu szczebli w drabinie wiodącej do rajów. A może, i w to bardziej wierzę, galeon ma towarzystwo. Na przykład trzy okręty wojenne, o których pańscy informatorzy, panie Joskowitz, jakoś zapomnieli?

– Galeon nie ma żadnego towarzystwa, panie Rackham – rzekł Żyd. – W tym hoku flota skarbową płynie innym szlakiem. Nie zawija do Mahacaibo, więc gubernator wysyła chococzne daniny i podatki na własnych statkach do Havanny.

– Wiem już o tym – mruknął Rackham. – Połowa obwiesiów z Port Royal ostrzy sobie zęby na te bogactwa. A druga połowa rozmyśla, jak poderznąć gardło tym pierwszym i zagarnąć złoto dla siebie. Największym kłopotem jest dla nich decyzja, czy zrobić to, zanim ich kompani zrabują złoto, czy też zaraz po tym.

– Nie, to nie tak, pan kapitan! Tzi statki wojenne, które mają przewieźć złoto, to tylko przynęta dla piratów. Gubernator chce wyphrowadzić w pole bukaniechów i wysyła w tajemnicy złoto na pokładzie innego okrętu. Galeon „Santa Mahia” wypływa wkhótcie z Mahacaibo. A pod pokładem w beczkach z mąką ma ukhYTE dublony. Złote dublony, panie kapitan. Takie z khólem Hiszpanii wybitym na awehsie.

Rackham dolał sobie brandy. Doprawdy nie wiedział, co o tym myśleć.

– Skąd wiecie o wszystkim, panie Joskowitz? Wyczytaliście w kabale? A może powiedział

wam o tym jaki żydowski prorok?

– Aj waj, zieby ja tak cebulami we Gdańsku handlował, jeśliby ja zełgał! – Joskowitz ściszył głos. – Dowiedział się o tym nie ja, ale kapitan Spahoł. I chciał na Hiszpanów napaść. Ale burza shoga przyśla i zatoneła pinasa pana kapitana, a wszistko to stało się koło Ahuby. A tylko dziennik okhętowy Spahoła ocalał. Znaleźli go moi ludzie i odczitali... A tam były wszistkie plany kapitana.

Ta opowieść mogła być prawdziwa. Andrew Sparrow rzeczywiście przepadł bez wieści jakiś czas temu razem z okrętem. Plotki zaś głosiły, że zamierzał napaść na Hiszpanów gdzieś blisko Maracaibo.

– Pokaż mi ten dziennik.

Żyd wydobył zwój postrzępionych papierów. Wyglądało to jak fragment dziennika okrętowego wyrwanego z księgi. Część wpisów była nie do rozpoznania – papierowe karty zniszczyła wilgoć i morska woda. Na górze pierwszej strony widniał fragment jakiegoś zdania, zaczynającego się prawdopodobnie na poprzedniej karcie: *...uwolnijcie z piekła i niechaj Bóg Miłosierny ma nas w swojej opiece...* He, he, od kiedy to Andrew Sparrow zrobił się taki religijny?

Dalej jednak były znacznie ważniejsze wpisy: *Wyruszamy, aby zacząć się na „Santa Marię” w połowie drogi do Havanny. Gubernator Maracaibo przewozi 16 tysięcy dublonów corocznych danin i podatków z hiszpańskich kolonii. Załadowano prowiant, prochy i kule...*

Te wpisy naprawdę wyglądały na autentyczne. Zresztą podpisał się pod nimi własnoręcznie Sparrow.

– Zaczaimy się na „Santa Marię” przy południowym brzegu Grande Caymane. – Cunningham przysunął się blisko do Rackhama. – Nieopodał Czarciej Rafy. Jak wyliczyłem, podróż do Havanny zajmie Hiszpanom przynajmniej dziesięć dni. Tak więc piątego dnia żeglugi „Santa Maria” osiągnie Caymany. A zatem, monsieur Rackham... – Cunningham poufale położył rękę na udzie kapitana. – Tam urządzimy zasadzkę.

Kapitan milczał. Czarcia Rafa cieszyła się złą sławą. Co roku rozbijały się tam jakieś statki, a pływiczny i wybrzeża w południowej części wyspy pełne były wraków i ludzkich kości. To miejsce w sam raz nadawało się na to, aby posłać tam na dno kilku hiszpańskich diabłów.

– Jak uzbrojony jest ten statek?

– W dzienniku Sparrow napisał, że galeon ma nie więcej niż szesnaście dział. Z tego głównie falkonety i szlangi. Załoga nie jest liczna, choć dowodzi nią doświadczony szyper.

Rackham znowu łyknął brandy.

– Co ja z tego będę miał?

– Pan kapitan wie dobrze, że ja ućciwy Zid jestem – zagadał Joskowitz. – Ućciwy, skhomny, phacowity i ubogi. Dlatego wezmę z udziałów jedynie ośm tysięcy dublonów. Hesztą,

panie wielmożny, podzielicie się...

Ręka Rackhama chwyciła go za żabot na piersiach. Kapitan bez wysiłku podniósł kupca i to tak szybko, że Joshua nie zdążył nawet zadzwonić na swoich ludzi – kilku podłych łotrów i oprychów, zwykle siedzących w głównej izbie szynku. Czuwali oni dzień i noc, aby w razie potrzeby bronić życia swego pana, które przynajmniej raz na tydzień bywało w niebezpieczeństwie. No cóż, Joskowitz nie zajmował się przecież handlem cebulami.

– Powtórz to raz jeszcze, judaszu – wycodził Rackham – a wepchnę ci twój parszywy jęzor w dupę!

– Aj waj! Panie kapitan – wykrztusił Żyd. – Giewałt, giewałt się dzieje! A jak pan kapitan jęzik mi wepchnie, to ja już nie powiem, kiedy galeon wypływa. I co wasie wielmożności zhobią wtedy? Gdzie go poszukają? I kiedy? Za miesiąc? Za tydzień? Ho, ho, morza tu szehokie i głębokie! Siedem tysięcy.

– To wszystko jest opisane w dzienniku Sparrowa – prychnął Rackham. – Możemy spokojnie ukręcić ci kark, zabrać papiery i sami podzielić się całym łupem.

– He, he, a ja był sphytny. Bahdzo sphytny. Ja wyjął kahtë z data wypłynięcia „Santa Mahii” i schował ją. Ona być dobrze ukhyta!

Rackham zaklął plugawie.

– Monsieur Joshua, to bardzo niegrzeczne z twojej strony. – Cunningham spokojnie napełnił szklanicę brandy. – Dlaczego zachowujesz się jak prostak? Niegodne to, by szanowany angielski kupiec był takim szelmą i wyzyskiwaczem. Chyba zatem zrozumiesz wzburzenie monsieur Rackhama i weźmiesz trochę mniej złota. Na przykład tysiąc dublonów, co?

– Pięć tysięcyyyy! – wycharczał Żyd. – I ani dublona mniej!

Rackham rozluźnił uścisk. Joskowitz opadł na nogi, a jego ręka od razu wyciągnęła się w kierunku dzwonka. Ale kapitan był szybszy. Błyskawicznie dobył lewaka i wbił sztylet dosłownie o cal od rozczapierzonych palców kupca. Żyd zamarł, jęknął ze strachu.

– Ja mieć ośm pachółków w sali. Jeśli coś mi zhobicie...

– A ja myślę, że weźmiesz cztery tysiące, kochaneńku – wycodził Rackham. – A wiesz, dlaczego cztery, a nie pięć? A dlatego – rzucił, nie licząc widać na szybką odpowiedź – że zadre ci zaraz pludry na łeb i do stołu przycisnę, a pan Czarny Roth sodomii z tobą popróbuje. Prawda, panie Cunningham?

– Sacrebleu! – jęknął z zachwytem pirat i oblizał się nad wyraz paskudnie. – Toż to czysta perwersja. Od tyłu... Starozakonnego? Mam tylko jeden warunek: ty, monsieur Rackham, zostaniesz i będziesz patrzył!

– Czte... cztehy tysiące – wystękał przerażony Żyd. – Cztehy, niech wam będzie, do khoćset!

– A więc cztery tysiące dublonów dla pana, panie Joskowitz, za informację o galeonie, a po sześć dla nas, panie Cunningham. Ładna sumka. Nawet jeśli okaże się, że galeon jest dobrze

uzbrojony, a któryś z nas straci okręt, to i tak każdego z nas będzie stać na co najmniej dwa statki.

– Moi ludzie przegrali już w kości wszystko, co zdobyli na poprzedniej rejsie. – Roześmiał się Cunningham. – Nie powinni tedy narzekać, że znowu szykuje się wyprawa.

– Panie Joskowitz – mruknął Rackham. – Proszę przygotować papier i inkaust. Spiszemy umowę.

– A ja jestem ciekaw – odezwał się Cunningham – kiedy ten złoty galeon wypływa z Maracaibo, panie Joskowitz? Powiecie nam o tym wreszcie?

Żyd wyciągnął ze skrzyni papier, pióro i butlę inkaustu.

– Za pięć dni.

– A zatem mamy jeszcze trochę czasu.

– Za kilka dni – rozmarzył się Czarny Roth – będziemy bogaci...

– Albo martwi.

Pirat sodomita uśmiechnął się:

– Jakoś wcale mnie nie martwi, że trafię do nieba. Talary, monsieur Rackham, zawsze mają lepszy smak od wiary.

John Rackham nic nie powiedział. Złożył zamaszty podpis na karcie z umową.

Diabelski przyz

Wiatr wiał w stronę lądu. Był wczesny świt. Słońce wschodziło wolno, skryte za welonami mgieł wiszącymi nad postrzępionymi skałami Czarciej Rafy. „Elizabeth”, trójmasztowa fregata Rackhama, płynęła szparko fordewindem na północny wschód. Prawie wszystkie żagle były postawione, a załoga, na stanowiskach. Okręt pędził po morzu jak ptak, a smukły kadłub ślizgał się po grzywach fal. Kilwater pieniał się wściekle za rufą.

Rackham oderwał wzrok od perspektywy. Stał na samym dziobie, tuż przy bukszprycie, uczepony liny, wychylony za burtę, mokry od bryzgów morskiej wody. W gęstej mgłę nie widział prawie nic. Stracił z oczu nawet „Roanoke” Cunninghama – szybką, trójmasztową brygantynę, przecinającą fale oceanu w odległości jakichś dwóch mil na prawo od niego. Daleko, ponad oparami, czerniały ostre grzbiety skał za Czarcią Rafą. Wysoko w górze przez chmury przebijał się piękny, czysty błękit nieba – był to znak, że lada moment słońce wynurzy się zza skał, a wówczas mgła opadnie, odsłaniając oba pirackie okręty.

Pułapka była już zastawiona. „Santa Maria” miała przepływać tędy, na południe od skał i raf. Zadaniem „Elizabeth” było ostrzelanie hiszpańskiego galeonu, związanie go pojedynkiem artyleryjskim i zniszczenie olinowania, natomiast „Roanoke” miała zająć go od tyłu, a potem

przeprowadzić szybki i sprawny abordaż.

Mgła zaczynała rzednąć. Jednolity, mleczny opar począł dzielić się na kłęby, chmury i pojedyncze tumany.

– Ramblind! – ryknął Rackham na bosmana, wielkiego, zwałistego chłopca z uchem i nosem przebitymi złotymi kolczykami, bez lewego oka i prawej dłoni. – Żagle na pozycję bojową.

– Ay, ay sir! Ruszać się, morskie dupy! Wybierać talię refową! Do lin, śmierdziele!

– Razem! Już!

W tupot bosych stóp na pokładzie wmieszały się dalsze krzyki i wyzwiska bosmana. Majtkowie zabrali się za skracanie żagli – wszystko po to, aby w czasie bitwy okręt miał mniejszą prędkość, a dzięki temu zachował zdolność do szybkiego manewru.

Rackham przyłożył perspektywę do oka. Mgła opadała – przed sobą, na wprost miał spienione grzbiety fal, dalej mleczny opar, a za nim poszarpane, oświetlone żółtym blaskiem słońca skały.

– Do dział!

Kapitan czuł, jak narasta w nim niepokój. Było to uczucie dobrze znane przed każdą bitwą. Czuł, jak chłód podchodzi mu do gardła, jak serce zaczyna bić coraz szybciej i szybciej. Kochał ten stan, kiedy wiedział już, że za chwilę postawi swoje życie na szali przeznaczenia, że poleje się krew, a działa jego okrętu będą siać strach i zniszczenie. No cóż: co komu pisane, to go nie ominie.

Kanonierzy skoczyli do schodni. Szybko i sprawnie zajmowali miejsca na pokładzie działowym.

– Podnieść ambrazury!

– Ay, ay, sir!

Pokrywy skrywające lufy dział uniosły się w górę. Okręt zwolnił – szedł teraz nieco więcej niż połową szybkości.

– Ładować kule łańcuchowe.

Żelaza i łańcuchy zagrzechotały po całym pokładzie. Rackham nie zamierzał zatopić „Santa Marii”. Chciał zgruchotać jej maszty, pociąć liny, aby bezbronny okręt padł łatwym łupem wilczej załogi Cunninghama.

Koła ciężkich szlang załomotały pod pokładem. Wnet przez otwory strzelnicze wysunęły się złowieszcze pyski armat.

– Gauthier, trzy rumbi w prawo!

Zaufany sternik Rackhama posłusznie zakręcił kołem sterowym; okręt odpadł od wiatru – zamiast iść ku wznoszącym się stromo skałom przy Czarciej Rafie, pędził teraz wzdłuż nieprzyjaznego wybrzeża Grande Caymane.

– Flaga na maszt!

Angielskiego Uniona Jacka spuszczone z masztu. Na jego miejscu załopotąła czarna bandera Rackhama, przedstawiająca trupa czaszkę z dwoma kordelasami.

Rackham rozejrzył się po morzu. Daleko, jakieś trzy mile od „Elizabeth”, ledwie dostrzegł maszty i żagle „Roanoke”.

– Sir! Statek z prawej! – krzyknął majtek z bocianiego gniazda.

Rackham uchwycił się relingu i jednym szybkim ruchem wskoczył na burtę. Mgła rzedła, wschodziło słońce. Ocean nabierał błękitnej barwy. Okręt zakołysał się, wysoko w górze pokrzykiwały mewy. Kapitan zlustrował uważnie linię horyzontu... Zamarł. Daleko wśród kłębow mgły dostrzegł czarny kształt. Głęboko osadzony w wodzie, trójmasztowy galeon, płynący ostro do wiatru. Na pierwszych dwóch masztach miał żagle rejowe, a na ostatnim łacińskie.

Coś dziwnego znajdowało się na końcach jego rei, na nadbudówkach, rufie i śródokręciu. Jakież kształty kołysały się wolno i jednostajnie. Czyżby klatki?

– Gauthier, kurs na wiatr! Idziemy na spotkanie! Szykować działa! Z życiem, chłopcy! Tam płynie szesnaście tysięcy dublonów!

„Elizabeth” położyła się lekko na lewą burtę i popłynęła prosto na spotkanie wrogiego okrętu. Rackham dopadł Gauthiera.

– Przetnij ich kurs jakieś ćwierć mili przed galeonem – rozkazał. – Powitamy Hiszpana salwą z bakburty. I dołożymy ze sterburty.

Fregata skręciła, szła znowu szybciej, bardziej z wiatrem. „Santa Maria” zbliżała się coraz bardziej. Jednak na jej pokładzie nie widać było oznak paniki.

– Wystrzelcie z działa!

Huk wstrząsnął okrętem. Na hiszpańskim galeonie na pewno ich zauważono. „Santa Maria” zrobiła zwrot przez sztag. Ustawiła się ostro do wiatru i popłynęła bajdewindem w stronę pirackiego statku.

Błysk i grzmot prawie rzuciły Rackhama na kolana. Kula działowa przemknęła ze świstem gdzieś nad pokładem, a potem uderzyła w morze daleko za statkiem.

– Odgryzają się, hiszpańskie kupczyki! – mruknął Ramblind.

– Nabijać muszkiety!

– Opuścić łódzie!

Grupy strzeleckie, kulące się za nadburciami, sięgnęły po prochownice. Piraci podsypali panewki, aby w stosownej chwili ostrzelać pokład nieprzyjacielskiego statku. Hiszpan najwyraźniej gotował się do walki. Rackham skulił się za burtą. Wyraźnie widział wysoką nadbudówkę dziobową, strzelisty bukszpryt i umieszczony pod nim galion – ogromną figurę... nie, wcale nie Matki Boskiej... To była kobieta z zawiązanymi oczyma i wagą w rękach.

Nie było czasu na podziwianie wrogiego okrętu. Kapitan chciał dopłynąć blisko galeonu,

dokonać zwrotu przez rufę i, będąc w martwym polu ostrzału – dać ognia ze wszystkich dział. Potem zrobić kolejny zwrot i poprawić salwą z drugiej burty.

„Santa Maria” szła ostro do wiatru. Rackham dostrzegł, że żeglarze zaczęli usztywniać żagle, aby przygotować się do zwrotu. Dobył zatem cutlas i krzyknął do sternika:

– Lewo, trzy rumbly! Działa w gotowości. „Elizabeth” skrzyła pięknie, jak na paradzie, ustawiła się całą prawą burtą do przeciwnika.

– Ognia!

– Bij skurwysynów!

– Na pohybel!

Działa huknęły niskim basem. Błysk przeleciał wzdłuż całej prawej burty. Kule łańcuchowe świsnęły, mknąc z zawrotną chyżością w stronę galeonu. Rackham zobaczył, jak w powietrzu zatańczyły oderwane liny, jak żagle na fokmaszcie wrogiego okrętu poszły w strzępy. A potem... Potem... Nim zdołał wydać rozkaz zwrotu przez sztag, galeon obrócił się do nich prawą burtą. Rackham ujrzał wymierzone w siebie dwa rzędy otworów najeżonych czarnymi oczkami dział. Wiedząc, co się święci, rzucił się na pokład, pociągając za sobą Gauthiera.

– Padnij! Wszyscy padnij!

Galeon dał ognia z całej burty. Czerwony błysk rozjarzył mgłę i prochowe dymy. Ze straszliwym łoskotem, gwizdem i wyciem, kule uderzyły w burty i pokład „Elizabeth”. Tuż obok Rackhama śmignęły w powietrzu deski i bale wyrwane z nadburcia, zwała się z góry potrzaskana reja. Okręt zatrząsał się i zakołysał. Oberwali mocno.

Kapitan porwał się na nogi. Chwycił za ramię Gauthiera i... ręka tamtego została mu w dłoni. Sternik leżał zmasakrowany, wył, trzymając się za kikut ramienia.

– Ramblind! Zabrać Gauthiera do chirurga! – wrzasnął Rackham. Ale bosman stał daleko. Cały pokład zbryzgany był krwią, kapitan usłyszał jęki, krzyki i rżenia umierających.

A potem ujrzał coś, co przejęło go trwogą. „Santa Maria” właśnie odwracała się do nich lewą burtą. Jak? W jaki sposób wyładowany, ciężki galeon był w stanie zrobić taki zwrot?

Spojrzał na wykrwawiającego się Gauthiera, a potem na wrogi statek. I chwycił koło sterowe.

– Nabijać działa – ryknął. – To jeszcze nie koniec.

„Elizabeth” sprawnie położyła się na burtę i zaczęła obracać rufą do wroga.

– Sternika! – krzyknął Rackham do bosmana. – Dawać tu sternika!

Kilku majtków rzuciło się ku rufie. Jeden z nich chwycił koło sterowe z rąk kapitana. Rackham skoczył na śródokręcie, pośliznął się na świeżo rozlanej krwi, pojechał na kolanach po deskach, walnął łbem w kabestan.

Fregata złapała wiatr, popłynęła szybciej, oddalając się od galeonu. A potem zrobiła kolejny zwrot.

– Całą burtą, ognia!

Tym razem byli szybsi. Działa na lewej burcie odpaliły niemal jednocześnie. Huk wstrząsnął pokładem. Na „Santa Marii” nie widać było jednak śladów zniszczenia.

A potem galeon ustawił się bokiem. I bluznął ogniem z dział lewej burty.

Tym razem spadły na nich kule łańcuchowe. Wirujące ostrza i łańcuchy zawyły, zaświszczały w powietrzu, tnąc płótno, liny, wyszczerbiając drewno, uderzając ze straszliwą siłą w pokład. Z trzaskiem i hukiem poszła część prawych want, świsnęły przecinane fały, szoty i gordingi. Z grotmasztu zwała się na pokład ogromna reja, ciągnąc za sobą płachtę porwanego żagla.

Rackham z przekleństwem na ustach dźwignął się spod zwałów płótna, wygrzebał spomiędzy potrzaskanych desek. Tuż obok świszczala i wyła śmierć – rozpędzone kule łańcuchowe trafiały wprost w grupy strzelców kulących się przy nadburciach, tnąc ludzi na części, rozrywając ciała na sztuki, zmieniając marynarzy w krwawe strzępy.

– Matko, matko!!! Jezuuuuu! – wył jakiś majtek, trzymając w ręku odcięty pod pachwiną kikut nogi. – Niiieeee! Niiieeee! – szlochał, przykładając go do straszliwej rany, z której tryskały strumienie krwi.

Okręt spowity był dymem, pyłem, zalany strugami krwi, zasypany resztkami odciętych członków, zmasakrowanymi kawałkami ludzkiego ciała. Kapitan przedarł się w pobliże głównego luku prowadzącego na pierwszy pokład. Potknął się o dygoczącego, półleżącego człowieka i omal nie wrzasnął. Obracające się wokół własnej osi kule łańcuchowe przecięły go na pół. Umierający wył, spoglądając na dolną połowę swego ciała...

Kapitan skoczył na schody. Kanonier, przekazujący jego rozkazy kolegom, leżał ze zdruzgotaną czaszką. Pokład działowy pełen był dymu.

– Ładować kule żelazne – ryknął Rackham do swoich ludzi. – Dalejże, odpowiemy skurwielom. Nabijajcie obie burty!

Kanonierzy nie ulegli panice, skoczyli do dział. Rackham wbiegł na górę po schodach. Omal nie zderzył się z Ramblindem. Dopadł relingu, wyrwał zza pasa perspektywę. Galeon został trochę w tyle, widocznie kanonierzy nabijali działa, szykując się do drugiego starcia.

– Kurs na południe! – krzyknął do sternika. – Zebrać rannych! Skrócić żagle! Uprzątnąć liny!

– Cunningham, gdzie jest Cunningham! – wyszeptał kapitan, szukając na morzu znajomej sylwetki brygantyny. – Do stu piorunów, nie wytrzymamy drugiego ataku!

Jego rozbiegane oczy dostrzegły w końcu trójmasztowy statek ze skośnymi, łacińskimi żaglami. Był tuż za rufą galeonu ścigającego „Elizabeth”. To „Roanoke” sposobila się do abordażu!

– Patrz! – syknął do bosmana. – Nasi zachodzą ich od rufy. Nie damy zginąć Czarnemu Rothowi! Na nich!

– Przygotować się do abordażu! – ryknął Ramblind.

– Kurs na wiatr!

„Elizabeth” nabrała prędkości. Szła znowu na spotkanie czarnego galeonu. Była coraz bliżej... Wszyscy marynarze dostrzegli „Roanoke”, gotującą się do ataku. Zaczęli krzyczeć – już wkrótce cały okręt rozbrzmiewał posępnym, bojowym rykiem piratów. Fregata rozpędzała się.

– Naprzód, kamraci! – darł się bosman. – Oskubiemy Hiszpanów! Na pohybel skurwysynom!

– Po dublony! Po złoto! Złoto, złoto!

A potem stało się coś, co zmroziło serce Rackhama. Znienacka galeon dokonał zwrotu przez sztag, w ostatniej chwili wymknął się brygantynie Cunninghama. Ustawił się do niej burtą i dał ognia... Ognia ze wszystkich osiemnastu kartaun!

Rackham widział, jak z brygantyny Czarnego Rotha lecą strzępy olinowania, jak wali się bezanmaszt, kruszą deski poszycia. Stał z dłońmi zaciśniętymi w pięści, patrząc, jak pierwsze języki płomieni zaczynają lizać żagle na grotmaszcie, jak z pokładu statku skaczą do morza płonący ludzie...

A potem nagły błysk sprawił, że przymknął oczy. Wybuch prochów rozsadził kadłub „Roanoke”, wyrzucając okręt wysoko w górę.

Bojowe okrzyki ucichły. Cała załoga Rackhama milczała, patrząc ze zgrozą na hiszpański galeon, na morze usiane resztkami statku i szamoczącymi się niedobitkami załogi Cunninghama.

Kapitan poczuł, jak w jego ciele rozlewa się gniew, jak dłonie zwierają się w pięści, jak usta wykrzywia grymas wściekłości.

– Wystrzelili działa – huknął. – Teraz są nasi! Do żagli! Bić ich, bracia, bez litości! Naprzód wiara!

– Bij! – ryknęli piraci jednym głosem. – Za Czarnego Rotha!

– Nie brać jeńców!

– Na przyz!

Rackham podpłynął na dwieście, może trzysta jardów, a potem dał zwrot przez sztag. Stanęli burta w burtę, rufa do rufy.

– Całą burtą, ognia!

Działa ryknęły jak jeden mąż. Rackham zobaczył, jak kule wbijają się w burty wrogiego galeonu, jak zmiatają marynarzy z pokładu. Galeon przetrwał atak, odpadł w lewo, zaczął powoli robić zwrot.

Coś załśniło na śródokręciu „Santa Marii”. Kapitan chwycił lunetę. Pomiędzy zwojami splecionych lin dostrzegł wyniosłą postać w kapeluszu. To był hiszpański kapitan. Patrzyli na siebie wprost z pokładów swych statków, obserwowali przez lunety, spokojni i opanowani wśród śmierci. Rackham nie mógł oderwać wzroku od galeonu, czarny statek bez przerwy przykuwał

jego wzrok.

– Panie kapitanie! – Ktoś szarpnął go za ramię. Oderwał oko od perspektywy i zobaczył z przerażeniem, że Hiszpan zrobił zwrot, ustawiał się drugą burtą do „Elizabeth”... Ale... to było niemożliwe!!! Który handlowy statek miał załogę zdolną w tak krótkim czasie nabić działa z obu burt?!!!

– Zwrot przez rufę! – zarządził. – Wszyscy padnij!

Galeon zbliżył się, a potem szybko – zbyt szybko jak na kupiecki statek – obrócił do nich całą burtą! Rackham zadrżał. Ten statek był za zwrotny, zbyt sprawnie przeprowadzał manewry. Aż nie chciało się wierzyć, że takie zwroty przeprowadzał ciężki, wyładowany towarami galeon.

Błysk i huk, okrutny grom wystrzałów wstrząsnął morzem. „Elizabeth” pochyliła się na burtę, a trzaskowi pękającego drewna towarzyszyły okrzyki bólu, wycie i złorzeczenia. Kule uderzyły wprost w kadłub. Prosto w działa lewej burty. Ogromna półkartauna wyrwana z obejmą szarpnęła się wstecz, uderzyła w podstawę masztu, miażdżąc ręce i nogi kanonierom.

– Stopa wody w ładowni! – ryknął jeden z wachtowych. – Mamy przeciek, kapitanie!

– Do pomp! – huknął bosman. – Ruszać się, kurwy zajebane!

– Pożar w kubryku!

– Wiadra, wiadra dajcie!

– Lekarza! Medykaaaaa! Kamraci!!!

– Boli, Boże, jak boliiiiii!

– Nie, nie ruszaj się! Dajcie szarpie!

Rackham czuł się jak we śnie. W głowie huczał mu odgłos ostatniego armatniego wystrzału. Spoglądał po śliskim od krwi pokładzie. Widział rannych, okaleczonych marynarzy, tarzających się we własnych wąpłach. Porozrywane, martwe ciała w opłotach postrzępionych lin, przykryte urwanymi rejami i płachtami żaglowego płótna. Okręt, spowity prochowym dymem, trząsał się od okrzyków.

– Kapitanie! – zakrzyknął Morgan, kwatermistrz okrętu, i potrząsnął Rackhama za ramię. Ale Johnny Szczęściarz nie zareagował. Przez cały czas wpatrywał się we wrogi statek.

– Henry, patrz! Patrz tam, na reje!

Kwatermistrz wyteżył wzrok. Na rejach hiszpańskiego galeonu kołysały się jakieś postaci...

Trupy powieszonych. Zwłoki. Jedne stare, zamienione w zeschnięte truchła lub szkielety, a inne świeże, napuchłe, z oczyma wydlubanymi przez ptaki. Na nadbudówkach, na rufie i dziobie zawieszono żelazne klatki z trupami. Krążyło tam wiele mew.

– Kurważ mać! – jęknął Morgan. – Co to jest? Mieli bunt na pokładzie?

– To nie „Santa Maria” – wydyszał kapitan. – To nie może być „Santa Maria”...

– Sir, mamy trzydziestu dwóch rannych! – zameldował bosman.

– Przeciek w drugiej ładowni!

- Zatkajcie pakułami.
- Ruszać się, ścierwa! Do pomp.
- Sir, pożar się rozszerza!

Kapitan spojrział na śródokręcie. Popatrzył na wycieńczoną, zdziesiątkowaną załogę.

- Sternik! Kurs na wschód! – zawołał. – Wycofujemy się! Postawić wszystkie żagle.

Piraci popatrzyli z niedowierzaniem. Rackham wyczytał w ich oczach własną klęskę.

- Ruszać się, kurwy! – ryknął bosman. – Do żagli.

„Elizabeth” położyła się w zwrocie, pozostawiając za rufą galeon. Pokrwawieni majtkowie opuścili z łoskotem marsle. Fregata ruszyła w półwietrze. Kilwater za rufą zapienił się, zasyczał.

- Kapitanie – krzyknął bosman. – Ludzie za burtą!

Rackham poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Dopadł burty i spojrział w dół. Przepływali właśnie obok miejsca, w którym wyleciała w powietrze brygantyna Cunninghama. Część załogi przeżyła katastrofę – majtkowie dryfowali teraz, uczepieni desek, baryłek, rej i drewnianych bali. Bosman spojrział pytająco na kapitana. Lecz Rackham unikał jego wzroku.

- Sir, czy podejmiemy rozbitków?!

Kapitan obejrzał się. Galeon był nie dalej niż pół mili. Rozwinął czarne żagle i szedł ślad w ślad za „Elizabeth”.

– Nie ma czasu – jęknął Rackham. – Jeśli rzucimy kotwicę, to hiszpański diabeł rozniesie nas na strzępy!

Morgan splunął obojętnie do wody.

- Kij im w rzyć – mruknął. – Co komu pisane, to go nie ominie.

- Ale przecie... Sir, Cunningham to nasz, swój...

– Do żagli! – ryknął Rackham. – Ruszać się, skurwysyny! Znieść na dół rannych. I uprzętać ten cały bajzel! – Z rozmachem kopnął kawałek strzaskanej rei leżącej na pokładzie. – Bosman! Co to, kurwa, ma być?! Czy to jest okręt, czy burdel?!

- Ay, ay, sir!

Rackham spojrział na ciemne morze... Nie chciał patrzeć na rozbitków, ale coś zmusiło go do tego.

Oczy... Czyjeś głęboko osadzone oczy śledziły go uważnie... Do diabła, Cunningham przeżył! Dryfował w morzu, obejmując zakrwawionymi rękami kawał masztu i patrzył... wprost na Rackhama.

Kapitan zdrzął. Zaklął i odszedł od burty. Nie mógł pomóc kompanowi. Musiał ratować statek i... życie. O ile w ogóle było ono jeszcze do uratowania.

Na widok ponurego, milczącego kapitana majtkowie rozpiezchli się szybko. Bosman wydawał krótkie rozkazy. Rannych zniesiono pod pokład. Trupy i dogorywających piratów ciśnięto za burtę. Wnet morze przy statku zaroilo się od trójkątnych płetw rekinów.

Rackham przeszedł na rufę. Skinął na jednego z wachtowych, a potem wręczył mu perspektywę.

– Słuchaj, Atkins – rzekł. – Masz dobre oczy. Czy dasz radę zobaczyć, jak nazywa się ten galeon? Co ma na galionie? Matkę Boską?

Majtek posłusznie przyłożył oko do perspektywy.

– Na dziobie statek ma jakąś kur... tfu, szlachetną pannę, sir. Pannę z zawiązanymi oczyma. Jakby oślepa od wystrzału z działa. A panna trzyma w ręku... wagę.

Sprawiedliwość... – przemknęło przez głowę Rackhama.

– Czy na burcie jest jakiś napis?

– Coś tam widzę, ale... Nie mogę rozeznaczyć, sir.

– Nie widzisz liter?

– Nie umiem czytać, sir!

– Wołajcie Stevensona! Szukajcie go, zaraz!

Atkins zadudnił bosymi piętami po deskach. Po chwili wrócił ze sługą Rackhama. Kapitan odetchnął z ulgą, widząc go wśród żywych.

– Robercie – rzekł, wręczając mu perspektywę. – Chcę wiedzieć, co to za okręt.

Chłopak przyłożył oko do okularu. Patrzył długo. A potem krzyknął, luneta wypadła mu z ręki.

– Ten... Ten okręt...

– Mów, coś widział, chłopcze?!

– Ten sta... statek... Ma nazwę... Nazywa się...

– Jak?

– The Tor... „The Torturer”, panie kapitanie!

– „Oprawca”? Nie może być! – Rackham chwycił się za głowę. – To nie jest „Santa Maria”!

– To nie jest przyz, na który polowaliśmy! – syknął Morgan. – Wpadliśmy w pułapkę, ktoś cię oszukał, kapitanie Rackham.

Johnny Szczęściarz w milczeniu popatrzył mu w oczy. Wzrok miał dosyć złowróźbny.

– Kurs na wiatr – zarządził po chwili. – Wymknijmy się „Oprawcy”.

Czaszka i kordelas

Drugi pokład zawalony był rannymi. Spoczywali wszędzie – pomiędzy armatami, na noszach i podłodze. W powietrzu słychać było jęki, krzyki, złorzeczenia. Deski pokrywała zeskorupiała krew, czerwona posoka zastygła pomiędzy stanowiskami potrzaskanych dział, mieszała się z cuchnącą, słoną wodą, wylewaną przez majtków pracujących w luku wiodącym na pierwszy

pokład. W powietrzu unosił się prochowy dym, czuć było smród krwi, wymiocin, gówna i moczu.

– Boli, Boże, jak boli... Jezu Chryste! Zmiłuj się nad nami...

– Kurwa! Kurwa! Kurwica! Dziwka pierdolona, jebana!

Rackham unikał wzroku piratów. Schodzili mu z drogi, ale oglądali się, gdy przechodził.

– Ramblind! – krzyknął w stronę zakrwawionego, pokrytego pyłem i sadzą bosmana.

– Tak... Sir?

– Za kwadrans narada w mojej kajucie. Zawołaj kwatermistrza, pierwszego oficera i sam też przyjdź!

Ramblind nie odpowiedział. Skinął tylko wolno głową. Patrząc ponad jego ramieniem, Rackham dostrzegł Watta, pokładowego chirurga, zwanego też trupiarzem. Wspólnie ze swym pomocnikiem przyciskał do stołu szamocącego się majtka.

– Koniec, stary diable! – rechotał Watts, uważany przez resztę załogi za prawdziwego szaleńca i zwyrodnialca, mimo iż potrafił w kwadrans zeszyć rozbitą czaszkę i zalutować ją złotym realem. – Koniec zabawy! Już nie potańcujesz w szynku! Obie nogi do urznięcia! Tim, dawaj piłę! Piłę, głupolu! Na co mi dłuto!

– No, co tam się stało? Odłamek w łokciu? Nic to, wydlubiemy! A może urzniemy rękę? Co? Nie będzie fajnie, he, he, he...

Kapitan ruszył dalej. Pośliznął się w kałuży krwi, wpadł i zaplątał w niewielki stos odciętych nóg, stóp i rąk. Z wściekłością kopnął dwa szczury, które już dobrały się do ludzkiego mięsa.

– Kapitanie, prosimy – wycharczał Watts. – Świeża porcyjka ślicznych kończynek. Jeszcze ciepłe. Hej, będą płakały chłopaki!

Rackham ruszył dalej, do swojej kajuty. Pchnął drzwi, a potem, zakrwawiony i brudny, zwałił się na fotel. Większość okien była rozbita, przez otwory wdzierały się bryzgi morskiej wody i wiatr. Macając rękoma jak ślepiec, znalazł flaszkę rumu i pociągnął solidny łyk, potem jeszcze jeden i jeszcze... Ale nie czuł ukojenia. Zresztą nie powinien pić. Wyprawa się nie udała. Załoga poniosła ciężkie straty. Musiał zatem teraz zadbać o swoją pozycję. Wiedział, że to nie będzie łatwe.

Drzwi się otwały. Do kapitańskiej kajuty wszedł pierwszy oficer Joseph Blauvelt – potężny, siwowłosy drab ze złamanym nosem i dziurą po kuli na skroni, która sprawiła, że jego lewe oko zapadło się w głąb czaszki. Zdjął z głowy przestrelony, wystrzępiony kapelusz, utarł nos dłonią bez trzech palców, które urwała mu kiedyś kula z muszkietu. Za nim wkroczył Randolph Morgan – szczupły i niewysoki mężczyzna, utykający na lewą nogę, z głową owiniętą chustą. Na prawym policzku miał wytatuowaną wielką, czarną czaszkę, a na ramieniu kostuchę odmawiającą różaniec. Na końcu wtoczył się kulejący bosman. Kolczyki w jego uszach, nosie i brwiach lśniły blado. Czerwona chusta na głowie splamiona była krwią.

Morgan jednym ruchem ręki stracił na podłogę flaszkę rumu.

– Tylko, kurwa, nie pij! – ryknął. – Tylko teraz nie pij, bo za chwilę zadyndamy na rejach! Ty myśl, co teraz robić. Co robić, rozumiesz! – Chwycił Rackhama za kaftan i potrząsnął mocno.

Rackham szarpnął się wstecz. Był silniejszy.

– Wrobił nas Joskowitz! – syknął. – To była pułapka. Jak wrócimy na Jamajkę, wsadzę mu kordelas w dupę tak głęboko, że zacznie śpiewać szanty po żydowsku!

– Ty myśl lepiej, co nam zrobi załoga? Przeciągnie pod kilem? Marunuje? A może tak, jak robił L'Exterminateur Hiszpanom – piraci wyprują nam flaki, przybiją do pokładu i popędzą dookoła grotmasztu? Co wolisz?

– Spokój – warknął Blauvelt. – Johnny tu nie zawinił. Czyś ty, człowieku, widział galeon, który posłał Cunninghama na dno jedną salwą burtową? Ten stary pierdziel marzył o hiszpańskich dublonach, a teraz chędoży na dnie morza syreny!

– Skąd tu się wziął ten statek, ten, ten... „Oprawca”?! Zaraz, jaką banderę miał na maszcie? Zauważył ktoś?

Zapadła cisza.

– Wilki morskie, kurwa wasza mać – rzekł Rackham. – A bandery nie zauważyli.

– Ta sprawa szyta jest grubymi nićmi – mruknął Morgan. – Ten wojenny galeon i przegrana bitwa. Obiecywałeś nam góry złota, Rackham. A teraz trzeba będzie przeciągnąć cię pod kilem, bo wszystko wskazuje na to, że wpadliśmy w hiszpańską zasadzkę.

– A mi się nie podoba ten statek, sir – mruknął Ramblind. – Żaden galeon wojenny nie wykonałby takich zwrotów i to w tak krótkim czasie. To diabeł, to Latający Holender. Ten Hiszpan pošle nas na samo dno piekła!

– Dość! – uciął Rackham. – Nie chcę słyszeć o żadnych diabłach! Panie Ramblind! Proszę zebrać załogę na śródokręciu!

Narastający gwizd i syk nie pozwoliły Rackhamowi dokończyć tych słów. Okna w tylnej części kabiny rozleciały się w drzazgi, zasypując ich deszczem tłuczonego szkła. Armatnia kula strzaskała ściankę kabiny, przebiła ją, uwięzła w poszyciu na lewej burcie.

Poderwali się na nogi. Rackham chwycił perspektywę, doskoczył do dziury. Nie dalej jak pół mili za rufą „Elizabeth” tańczył na falach „Oprawca”, ścigający piracką fregatę pod pełnymi żaglami.

– Czarny oprawca – wyszeptał bosman i przeżegnał się. – Będzie za nami gnał aż do śmierci! Powiesi nasze dusze na rejach, wychędoży...

Blauvelt z całej siły grzmotnął go kulakiem w plecy.

– Milcz, panie Ramblind! – syknął. – Bo zaiste zawisniesz, ale zgoła nie na tej rei, na której ci się marzy!

Rackham przyłożył do oka perspektywę. Patrzył długo, aż wreszcie jęknął.

– To nie jest Hiszpan!

– Jak to?!

– On nie ma kastylijskiej bandery na maszcie!

– Co?

– Sir... – Ramblind zadygotał z przerażenia. – Jak wygląda jego bandera? Jak?!

– Kościotrup z kosą – rzekł Rackham. – To pirat? Hiszpański? Nie może być!

Błysk rozjarzył bukszpryt wrogiego okrętu. Kula uderzyła w wodę tuż za rufą „Elizabeth”.

Morska piana bryznęła im w oczy. Ramblind osunął się na ziemię i przeżegnał.

– Święty Boże, zmiłuj się nad nami – wyszeptał. – To „Oprawca”... To kat Morrisa...

Rackham odłożył perspektywę.

– Nie poniechał nas. A zatem dobrze... Sam tego chciał! Panie Morgan!

– Tak, kapitanie?

– Kurs na Caymane Minor – wydyszał Rackham. – Przeprowadzisz nas przez Długą Płyciznę.

– Co takiego? – jęknął Morgan. – To udało się tylko raz! Jeden jedyny raz! Do kroćset, od tamtego czasu „Elizabeth” stała się gruba jak stara kurwa z Port Royal! Jeśli nie zrzucimy kilku tysięcy funtów ładunku, utknijemy na skałach.

– Wyrzucić za burtę wszystko, co się da. Nawet kule łańcuchowe, rum i suchary, nawet ubrania i łyżki!

Morgan był blady, drżał na całym ciele.

– Nie możemy zaryzykować. Jeśli stracimy okręt, to zawiśniemy na rejach.

– On musi zanurzać się przynajmniej na trzy sążnie. „Elizabeth” przejdzie nad rafami, a Hiszpan utknie. A wtedy pogadamy z nim inaczej.

Zapadła cisza.

– Panie Ramblind! – rzucił rozkaz Rackham. – Proszę zebrać załogę i wyrzucić za burtę, co tylko się da! Prowiant, armaty z rufy i dziobu, cały zapas kul łańcuchowych, połowę zapasu prochu i rum. Ruszajcie się! Do roboty, lenie!

Tańcz, kostucho!

Długa Płycizna – najeżona skałami i rafami mielizna u zachodnich wybrzeży Caymanów – nie była przyjaznym miejscem. Fale łamały się tutaj na ostrych grzędach skał, pomiędzy którymi rozciągały się rozległe, piaszczyste łachy. Gdy następował odpływ, mielizny i skały – zwykle prawie nie do dostrzeżenia – wynurzały się z odmętów.

Pomiędzy Długą Płycizną a brzegiem wyspy był pas głębokiej wody, szeroki na milę, jednak

od południa zamykały go wznoszące się stromo skały, a od północy rzędy raf, między którymi trudno było znaleźć bezpieczne przejście.

„Elizabeth” Rackhama kierowała się właśnie w stronę mielizn – prawie niedostrzegalnych na wzburzonym morzu. Kiedyś kapitan zgubił tu ścigający go francuski okręt wojenny – przemknął się na swojej fregacie nad mieliznami przy końcu przypływu, a potem, gdy przedostał się na głęboką wodę przy brzegu, zawrócił i zaatakował idący w ślad za nim galeon. Francuski okręt osiadł na mieliznie, oberwał mocno, a jego załoga skapitulowała po kilku godzinach beznadziejnego ostrzału. Do dziś fragmenty wraku rozrzucone były po całej płyciźnie.

Rackham chciał powtórzyć tę samą sztuczkę – przejść przez mielizny na początku odpływu, a potem zaatakować galeon i zmusić go do pozostania na niebezpiecznych wodach. Biorąc pod uwagę fakt, iż „Oprawca” zanurzał się przeszło dwukrotnie głębiej niż „Elizabeth”, nie był to zły plan – wrogi okręt powinien wejść na mieliznę bądź rozpruć sobie kadłub o skały.

– Dziesięć sążni – krzyknął Atkins, wyciągając sondę.

– Pół rumba w lewo! – zakomenderował Morgan, wypatrując miejsca, gdzie płaska tafla wody zwiastowała niebezpieczną mieliznę. – Ruszać się, kurwie syny!

„Oprawca” szedł za „Elizabeth” trop w trop. Wisiał jej na bakburcie ogromny, czarny, straszący ciałami powieszonych i żelaznymi klatkami na nadbudówkach rufowych. Znowu dał ognia z przedniego działła. Niecelnie – kula przeleciała nad grotmasztem, uderzyła w wodę pół kabla od statku Rackhama.

– W prawo, tylko wolno! – ryknął Morgan. Kadłub statku zatrzeszczał, przebijając się przez płytką, piaszczystą łachę. „Elizabeth”, odładowana z prowiantu, części amunicji, zapasów rumu i prochu, szła baksztagiem, manewrowała dziarsko między skałami.

– Rumb w lewo! – rozkazał Morgan, który najlepiej z całej załogi znał te wody. – Dobrze, tak trzymać, a teraz dwa rumby w prawo! O kur...

Statek nie posłuchał steru. Pomiędzy mieliznami był jakiś dziwny prąd albo martwa fala, która znosiła ich coraz bardziej w stronę lądu. Coś zmieniło się na Długiej Płyciźnie od ostatniego czasu. Okręt wszedł w łuk, lecz był to łuk zbyt mały! Ostre skały i płaska mielizna zamajaczyły blisko lewej burty!

– Wszyscy na prawą burtę! – ryknął Rackham, chcąc choć trochę dociążyć okręt w czasie wykonywania zwrotu. – Na prawą burtę, śmierdziele!

Majtkowie rzucili się w stronę nadburcia, chwycili za wanty. Okręt lekko przechylił się w prawo. Usłyszeli i poczuli, jak kadłub otarł się o skały, przemknął tuż obok ławicy piasku.

Morgan otarł pot z czoła. Od głębokiej wody dzieliło ich ledwie kilkanaście jardów. Chciał dać znać sternikowi, aby wziął kurs na wiatr, ale nim zdążył to zrobić, majtek siedzący na dziobie zamachał do niego ręką.

– Sir, płycizna! Przed dziobem!

– Kurwa! – jęknął Morgan. Wytatuowana czaszka na jego policzku zbladła. – Jak to??? Jaka płycizna?

Szybko jak błyskawica dopadł do burty. Rzeczywiście, przed dziobem fregaty rozciągał się szeroki pas lśniącej, płytkiej wody. Wcześniej nie było tu mielizny! Najwyraźniej ostatnie sztormy naniósł tu kilka łąch piachu.

– Zgubiliśmy farwater! Refować marsle! – ryknął Rackham. – Cztery rumbly w lewo!

Marynarze rzucili się do żagli. Ale było już za późno. Mokry piach pod kadłubem zazgrzytał pod poszyciem, okręt zadygotał i stanął. Martwa fala wepchnęła go głębiej na mieliznę, powlokła w stronę brzegu. „Elizabeth” została schwytana w pułapkę.

– Stoimy na mieliźnie! – ryknął Morgan do Rackhama. Kapitan był błydy. Od strony rufy zbliżał się „Oprawca”. Nie dopłynął jeszcze do Długiej Płycizny, ale wyraźnie sposobił się do ataku. Marynarze refowali żagle do położenia bojowego.

W oczach Rackhama odbiło się wszystko, co działo się dokoła... Panika na statku. Prerażone krzyki marynarzy, modlący się pierwszy oficer, trzeszczący kadłub.

– No, skurwysyny – zaryczał Ramblind. – Odmawiajcie paciorki! Zaraz diabeł porwie was do piekła! Tam potańczycie z czarcimi dziwkami!

Rackham pojął, że to koniec, koniec, koniec jego statku, jego załogi, jego życia. Stracił swoje szczęście. Stracił je ostatecznie tu, u wybrzeży Caymane Minor.

– Kurwa! – ryknął i potrzęsnał bladym jak śmierć Ramblindem. – Bosman! Opuścić wszystkie żagle! Przebijemy się przez mieliznę. Ona nie jest szeroka! To samo błoto! Ruszać się! Do kogo mówię! – krzyczał kapitan, rozdając szczerze kuksańce i kopniaki.

– Blauvelt! – huknął na oficera. – Weź ośmiu ludzi i idź na pierwszy pokład. Wyrzućcie wszystko, co tylko się da! Na działo zostawić sześć kul i beczkę prochu, nie więcej!

– Ruszać się! Raaaazem!

Żagle opadły z łoskotem. Wiatr powiał w stronę lądu. „Elizabeth” napała na mieliznę, kadłub zatrzeszczał, zadygotał, okręt przesunął się do przodu. Rackham zwijał się jak w ukropie.

– Wyrzucić półkartauny!

„Oprawca” zrobił zwrot przez sztag. A potem dał ognia. Kule gwizdnęły tuż nad głowami marynarzy, z trzaskiem pękły deski nadburcia, na pokład poleciały wyrwane klepki, drzazgi i kawałki lin. Ktoś jęknął, ktoś zwałił się do wody.

„Elizabeth” zatrzeszczała, pełny wiatr porwał ją do przodu, dziób wbił się głęboko w płyciznę, uniósł do góry, a potem z łoskotem okręt przebił się przez piaszczystą łacchę, spłynął na głęboką wodę i ruszył szybciej, gnany baksztagiem.

Załoga zawyła. Pokład fregaty rozbrzmiewał okrzykami i wrzaskami. Piraci, uczeplieni want i burt, wyli, krzyczeli, machali kapelusami.

– Do dzia! – zakomenderował kapitan. – Ruszać się psie syny! Zwrot przez sztag!

„Oprawca” był tuż-tuż. Martwa fala znosiła go wprost na płycizny. Ogromny okręt nie zmniejszył jednak szybkości. Albo kapitan nie dostrzegał mielizny, albo też zawział się i postanowił podążyć śladem „Elizabeth”. Na swoją zgubę...

Fregata obróciła się burtą w stronę galeonu. Marynarze sprawnie podnieśli ambrazury, podtoczyli działa.

„Oprawca” wszedł między mielizny i skały – sunął wprost na nich. Był już odpływ – skalne progi i łachy coraz bardziej wynurzały się z morskich fal. Wystarczyło zatrzymać go tam na dłużej, a zostałby na Długiej Płyciźnie już na zawsze.

– Całą burtą, ognia!

Działa ryknęły niemal jednocześnie. Żelazne kule pomknęły w stronę galeonu. Uderzyły w burtę, w takielunek na dziobie, podziurawiły dolne marsle.

Galeon pędził wprost na nich, płynął przez mielizny, rafy i piaszczyste łachy. Okręt, który zanurzał się prawie dwa razy głębiej niż „Elizabeth”, bez wysiłku przemykał nad wynurzającymi się z wody skałami! To nie mogło... To nie mieściło się w głowie. Okrzyki na „Elizabeth” umilkły. Fregata, gnana wiatrem, oddalała się z wolna od galeonu. Ale nikt nie zwracał uwagi na to, co działo się przed nią. Wszyscy patrzyli tylko na „Oprawcę”.

– Kurwa mać! – Rackham uderzył pięścią w reling. – Jak on to zrobił? No jak?!!!

– To diabeł, sir – jęknął Ramblind. – To kat, co przyszedł po nasze dusze. Mówiłem, że nie ma przed nim ucieczki. Będzie nas ścigał przez siedem mórz aż do samego piekła!

„Oprawca” wyszedł im za rufą na głęboką wodę. Zrobił zwrot przez sztag i ruszył za „Elizabeth”. Piraci milczeli, duch opadł w załodze, nikt nie miał sił, aby nawet kiwnąć ręką.

Znienacka jeden z majtków potrząsnął kapitana za ramię. Rackham odwrócił się wolno. Nie rozumiał, czego od niego chcieli.

– Sir, skały przed nami!

Kapitan spojrzał przed siebie. Niedaleko przed dziobem okrętu widniała ostra, poszarpana linia skał. Wiatr wiał z boku, a ponieważ wszystkie żagle były postawione, pchał ich półwiatrem prosto ku zniszczeniu. Rackham rozejrzał się, przerażony: z lewej burty mieli niegościnnie, kamieniste wybrzeże, z prawej mielizny i rafy, a za sobą ogromny, czarny galeon.

– Ruszać się! – krzyknął Rackham. – Przygotować się do zwrotu przez sztag!

Marynarze milczeli. Kapitan porwał za króciwę, strzelił, a potem cisnął broń pod nogi Ramblinda.

– Do żagli! – rozkazał. – Bo każę powiesić! Do żagli! – Kopnął w tyłek najbliższego majtka.

– Ruszać się, śmierdzące małpy.

Spojrzał na bukszpryt. Skały były zbyt blisko, zbliżały się za szybko, aby zdołali wykonać normalny zwrot. Z tyłu galeon następował im na pięty. Pozostawało im tylko jedno... Zwrot Szczęściarza.

– Ramblind, nie damy rady skrócić – rzucił Rackham. – Zrobimy zwrot Johnny’ego Szczęściarza! Bierz topór i idź na dziób.

– Jak to? – Bosman nie rozumiał. – Jak to, kapitanie!? Dostaniemy od nich salwę z całej burty!

Rackham przyłożył mu ostrze kordelasa do piersi.

– Bierz topór i idź na dziób! – powtórzył z naciskiem.

Bosman spojrzał mu prosto w oczy. Rackham wyczytał w nich groźbę. Pchnął, kłując tamtego końcem ostrza.

– Ay, ay, sir!

Fregata zbliżała się do skał. Wiatr powiał mocniej, napęlił żagle, pchnął okręt naprzód. Rackham obejrzał się na galeon. Teraz! Teraz albo nigdy!

– Prawa kotwica, rzuć!

Brzęknęły zwalniane zatraski. Kotwica z pluskiem zanurzyła się w morskich falach, ciągnąc za sobą konopną linę. Wnet zatrzymała się, lina zadrgała, naprężyła się, a „Elizabeth” zwolniła wyraźnie. Okręt zatrzeszczał, zakołysał się.

– Wlecemy kotwicę, sir!

– Czekać, czekać jeszcze.

Kotwica sunęła po morskim dnie, zagłębiła się w piach i kamienie. Lina zadrgała, naprężyła się. Wstrzymany nagle, rozpędzony okręt zwolnił, zamarł i prawie w miejscu zaczął obracać się dookoła liny.

– Czeeeekać! Jeeeeeszczeeee!!!

„Elizabeth” stanęła bokiem do „Oprawcy”, obróciła się pod wiatr. Napięta lina wyrwała drewniane drzazgi z nadburcia, przeszorowała wokół otworu.

– Lina pęka, sir! Zgubimy kotwicę!

– Czeeeekać!

„Elizabeth” obróciła się dziobem do wroga. Wiatr napęlił żagle z drugiej strony. Płótna się wydeły.

– Teraz! Już!

Ramblind zamachnął się i ciął z całej siły toporem. Ostrze błysnęło w słońcu, przecięło gruby, splątany sznur kotwicy niby szczapkę drewna. Przecięta lina świsnęła w powietrzu. Fregata zerwała się do pędu niby koń wstrzymywany cugłami przez jeźdźca. Poszła na spotkanie galeonu, zachodząc go z prawej strony.

Piraci ryknęli jednym głosem. Udało się! Więc jednak Rackham miał szczęście. Ale kapitan wiedział, że to jeszcze nie koniec. Musieli przepłynąć obok galeonu, musieli przyjąć na siebie całą salwę z jego burty.

– Wszyscy pod pokład! – ryknął Johnny Szczęściarz. – Padnij! Kłąć się!

Marynarze rzucili się ku nadburciom. „Elizabeth”, pędząc pod pełnymi żaglami, mijała właśnie galeon. Marynarze przeciwnika dostrzegli, że wystrychnięto ich na dudka, skracali żagle, okręt przygotowywał się do zwrotu, jednak było na to już za późno.

Zrównali się i wszystkie działa z prawej burty galeonu dały ognia.

Fregata zatrzęsała się. Odpowiedziała ogniem na ogień. Trysnęły w górę klepki poszycia, zawyły poprzecinane liny, rozłupane deski i bale. Ktoś jęknął i zwałił się na pokład, komuś urwało rękę, a bryzgi krwi trysnęły aż na grotmaszt. Blauvelt zwałił się martwy na pokład, gdy dostał odłamkiem w plecy.

– Sir, mamy dwa przecieki!

– Pękło poszycie!

– Łatajcie, szybciej!!!

Rackham nie zwracał uwagi na krzątaninę na pokładzie. Patrzył... Wpatrywał się w fokmaszt „Oprawcy”, gdzie na najwyższej rei kołysały się dwa wyglądające znajomo ciała. Przyłożył perspektywę do oka i ledwo powstrzymał się od krzyku.

Na rei wisiał Cunningham, a obok kołysał się w podmuchach wiatru Orlando, najładniejsza ciota kapitana...

Wiatr szarpał ciałem pirata. Obrócił go na stryczku, a wówczas Rackham dostrzegł białka jego martwych oczu.

Znienacka sodomita poruszył się. Pokiwał ręką do Rackhama... A może było to tylko złudzenie. Kapitan drgnął, odrzucił perspektywę, oburącz chwycił się nadburcia.

Galeon oddalał się, zaczął robić zwrot. A Rackham rzygał, rzygał długo, przechylony nad relingiem, dygocący i z włosami posklejnymi potem.

„Elizabeth” weszła między skały – sternik zrobił zwrot, wyrównał... Szli prosto na północ, na Jamajkę. A za nią w odległości dwóch mil sunął niezniszczalny, niezatapialny „Oprawca”. Byli jak na szafocie. Kat i jego skazaniec...

Czterdziestu chłopca na Rackhama skrzyni

– To okręt widmo, morski oprawca. He, he, stare diabły! Nie miną dwa dni, a wszyscy zawiśniemy na rejach, a czart będzie wyrywał wam serca z piersi.

– Skąd wiesz?

– Bo już go widziałem. Dawno temu służyłem u Coxona. Tęgi był z niego pirat, pamiętacie, nie to co Rackham! Nie, tego nijak nie pamiętacie, bo to dawne dzieje, a ja byłem wówczas ledwie chłopcem okrętowym. Płynęliśmy z Coxtonem niedaleko Trynidadu, gdy w sztormie dopadł nas wielki, czarny galeon i potrzaskał z działa. Ja jeden cudem się uratowałem i dobiłem

do wyspy, trzymając się złamanego masztu. Gdy „Oprawca” przepływał blisko brzegu, widziałem, jak na rejach kiwał się Coxtton i jego bukanierzy! Żarły ich mewy. Kiwają się do dzisiaj na tym przeklętym galeonie. I my się niedługo też pokiwamy!

W kubryku zapadła cisza. Will – wytatuowany drab z kolczykiem w uchu, oraz Mayhem – brodaty, okrętowy cieśla o gębie poznaczonej bliznami od kul, przeżegnali się. Kilku majtków zadrzało. Inni uśmiechnęli się, prezentując szczyrby po wybitych zębach.

– Co się tak głupio śmiesz, Atkins? Myślisz, że przeżyjesz? A ty, Milton, co szczerzysz kły? Zdechniecie, zanim nastanie dzionek. Diabeł zabierze was na dno głębin i zakręci wami tak, że zgłupiejecie. – Mówię wam, kamraci, ten galeon to „Oprawca” starego diabła Johna Morrisa, co gra teraz w piekle w kości z L'Ollonoisem, jeszcze większym diabłem, o nasze głowy. A wszystko dlatego, że Johnnymu Szczęściarzowi zachciało się hiszpańskich dublonów.

– Więc mówisz, Ramblind, że znasz ten statek?

– „Oprawca” kiedyś nazywał się po prostu „Diana” – ciągnął bosman, łypiąc okiem na kompanów. – Należał do Johna Morrisa, najlepszego pirata, jakiego widział Port Royal. Tego samego, co obrabował Villahermosę i złupił Grenadę. A jak wrócił do Port Royal, jego ludzie bawili się i hulali przez równy miesiąc i to tak, że wszystkie dziwki nie mogły przez cały kwartał ruszać nogami! Takich to chwatów miał Morris na pokładzie! Ale to zgubiło starego czarta! Skumał się z wicegubernatorem Jamajki i został jego prawą ręką. Dali mu szlachecki tytuł i od tego czasu Morris oszalał. Wyparł się dawnych kompanów. Niektórzy mówili, że zmienił się tak, bo jakiś hiszpański kaznodzieja, chyba dominikanin, przemówił mu do rozumu. I stał się oprawcą bukanierów. A gdy gubernator dziesięć lat temu kazał mu zlikwidować kilku piratów, Morris przemianował swój okręt na „Oprawcę” i zaczął zabijać kamratów z bractwa. A że znał ich tajemnice i porty, poszło mu szybko. Był tak okrutny, że wieszał schwytych bukanierów na rejach „Oprawcy”, zamykał ich w klatkach, aby szeźli, wrywał żywcem serca albo kazał wyciągać flaki, przybijał do masztu i ganiał człowieka po pokładzie, póki bebechy nie wypruły się do reszty. Tak zrobił z Pardelą, którego męczył, a potem powiesił na najwyższej rei. Powiadali, że tak był okrutny, że nie mógł usnąć, jeśli nie zasiekli przy nim człowieka na kabestanie! A zamiast rumu pijał ludzką krew! – Ale przyszła w końcu kryska na starego diabła. Piraci zwiedzieli się o nim, wciągnęli w zasadzkę na Bahamach. I powiesili go na rei „Oprawcy” – tak jak on niegdyś wieszał swych kompanów.

– I co potem? Co się działo?

– Piraci chcieli zatrzymać jego statek. Ale w czasie sztormu „Oprawca” zerwał się z kotwicy i podryfował na pełne morze. Od tego czasu pojawia się czasem to tu, to tam i masakruje pirackie łajby. Bo stary diabeł Morris mści się za zdradę i dowodzi swym okrętem z najwyższej rei. Będzie nas ścigał na kraniec świata i nie odpuści, jak nie odpuścił Coxttonowi, jak ścigał Manuela Pardelę. Jak posłał na dno wielu zacnych kapitanów i ich chłopaków.

Zapadła cisza. Majtkowie wpatrywali się w bosmana.

– Jak to? Więc nie ma dla nas ucieczki? – zapytał Milton.

– Ja, jak widzicie przeżyłem – rzekł bosman. – Musimy opuścić ten statek, który i tak skazany jest na zagładę. Musimy uciec na ląd. Ale najważniejsze... – Uśmiechnął się złowroźnie. – Powinniśmy podziękować temu, kto sprawił, że zamiast gzić się z gamratkami w Port Royal, zdychamy na tej łajbie. Szczęściarzowi, którego opuściło szczęście.

– Prawdę gada – rzekł Atkins. – Rackham nas zdradził! To wszystko przez niego!

– Zabić skurwiela! Powieśmy go na rei!

– Do morza z nim!

– Pod kilem przeciągnąć.

– Co by nie gadać, kamraty, łupów już z nim nie weźmiemy.

– Marunować go!

– Marunować!

Ramblind rozejrzał się chytrze po srogich, wąsatych i brodatych twarzach kompanów. Wystąpił na środek koła, stukając o deski pokładu swoją drewnianą nogą.

– To co, kamraci?! Rada postanawia: obalamy z kapitaństwa Johna Rackhama, który winien jest klęski w starciu z „Oprawcą” i naszej obecnej sytuacji?

– Obalamy!

– Na pohybel!

– Na reję z nim!

Nikt nie ujął się za dowódcą. Kilku marynarzy zachowało milczenie, ale Ramblind i tak odniósł druzgocące zwycięstwo na całej linii.

– Marunować Rackhama! – krzyknęli Milton i Atkins.

– Powiesić.

– Zaraz! – krzyknął Levis. – Poczekajcie! Po co go zabijać. Przestanie być kapitanem i tyle!

– Zamknij się – wycedził Atkins. – Zamknij się, kurwo, kapitańska ruro!

– Łżesz!

– Samem widział, jakeś łąził do kabiny gzić się z szyprem.

Levis sięgnął po nóż, ale Ramblind był szybszy. Jego sztylet świsnął i wbił się w ścianę nad głową marynarza.

– Milczeć, kurwa – rzucił bosman. – Pierwszemu, który zacznie zwadę, wydłubię ślepią tym!

– Potrząsnął żelaznym hakiem.

– A jak go zabijecie, to kto poprowadzi statek? Co, Atkins, durny łbie, znasz się na sekstansie i mapach? Umiesz, kurwo głupia, policzyć, po jakim morzu pływamy?

– Zrobimy kapitanem Morgana – rzucił Ramblind.

– A jak nie zechce?

- Zechce. Jak nie będzie chciał, to zeżre własne jaja.
- A co w takim razie z Rackhamem?
- Zostawcie go mnie. – Marynarze nigdy nie widzieli bosmana uśmiechającego się tak paskudnie. – Ja wiem, jak podziękujemy Rackhamowi za dowodzenie nami...
- Co zamierzasz?
- Wydamy go Hiszpanom – zarechotał bosman. – Ot, już oni wyłupią mu ślepią, już będzie żarł własne jajca i zdechnie na garocie!
- Piraci milczeli. W końcu Rackham nie był jednak najgorszym dowódcą.
- Ruszać się, śmierdziele! – ryknął bosman i popędził najbliższego majtka kopniakiem. – Rozbić skład broni! Brać muszkiety! A potem na rufę! Do kapitańskiej kajuty!

Jo, ho, ho!

- Sir, bunt na pokładzie!
- Rackham zerwał się z łóżka. Nie spał. Przez prawie całą noc wpatrywał się w sufit kajuty, drżąc na całym ciele i wyczekując, kiedy usłyszy znowu łoskot dział „Oprawcy”. Przeklęty galeon podążał za rufą „Elizabeth”, przed zmierzchem oddalił się nieco, ale i tak wszyscy z załogi wiedzieli dobrze, że diabelski okręt nie odpuścił – ukryty w mroku przed ludzkim wzrokiem, ciągle podążał za swoją ofiarą.
- Głos, który wołał przed kajutą, niewątpliwie należał do Roberta. Rackham zerwał się na nogi. Spodziewał się buntu. Właściwie czekał tylko na to, kto pierwszy z załogi zarzuci mu zdradę i nieudolność.
- Poderwał się z łoża, chwycił pistolet, cutlas i rzucił się w stronę drzwi. Otworzył je kopniakiem, wypadł na zewnątrz i...
- Szczęk odciąganych krzosek zabrzmiał ponuro i groźnie. Szesnaście luf mierzyło w pierś kapitana. A na wprost wejścia stał bosman Ramblind. Wspólnie z Atkinsem przytrzymał Roberta. Ostrze szerokiego, marynarskiego sztyletu dotykało gardła chłopaka.
- Kapitanie, wybacz – jęknął sługa. – Zmusili mnie...
- Panie Rackham – rzekł Ramblind. – Oddaj broń i poddaj się. Uradziliśmy pozbawić cię dowództwa okrętu za zdradę.
- Ty skurwysynu! – Rackham wycedził przez zęby.
- Oddaj broń, kapitanie!
- Johnny Szczęściarz rozejrzał się po twarzach majtków. Ich oczy śledziły każdy jego ruch, palce zaciskały się na spustach pistoletów i rękojeściach kordelasów.
- Poddaj się, Johnny – jęknął Morgan, także związany i podtrzymywany przez dwóch

rosłych marynarzy. – To nie musi skończyć się rzezią...

Rackham rzucił cutlas pod nogi bosmana. Wyciągnął zza pasa pistolet i cisnął na podłogę.

Szybko schwytano go, związano ręce za plecami, powleczono na główny pokład. Zbliżał się świt, ocean połyskiwał zielonkawo. Delikatna bryza chłodziła rozpalone twarze.

– Przywiązać ich do masztu! – zawołał Ramblind. Rozkaz spełniono w mgnieniu oka. Roberta i Rackhama skrępowano mocną, żeglarską liną. Marynarze przywlekli bliżej Morgana, Ramblind podszedł do kwatermistrza i chwycił go za kaftan na piersiach. Przyciągnął go bliżej, tak iż oficer poczuł jego oddech, cuchnący rumem i zgnilizną.

– Z kim trzymasz, Morgan?! Z nimi czy z nami?

– Z nikim nie trzymam, śmierdzieliu.

– A ja myślę, że będziesz trzymać z nami i ładnie wyliczysz nam kurs ku brzegom Cuby.

Morgan splunął pogardliwie przez zęby. Spojrzał na Ramblinda swoim zapadniętym okiem.

– Wyliczysz nam kurs i zajmiesz się mapami – mruknął bosman. – Bo jak nie, to, dalibóg, Morgan, nakarmię tobą rekiny.

Kwatermistrz nie odpowiedział. Bosman dał znak swoim ludziom. Majtkowie unieśli oficera, ruszyli z niedwuznacznym zamiarem w stronę burty.

– Wyliczę ci kurs, Ramblind – charknął Morgan. – Wyliczę ci farwater nawet do samego piekła.

– Słuszna decyzja. Hej, Atkins, rozwiąż pana kwatermistrza!

– Będę miał na ciebie oko – syknął bosman. – Jeśli chociaż podejdziesz do masztu, jeśli zamienisz choć słowo z Rackhamem, poderżnę ci gardło tak powoli, że będziesz mógł napić się do woli własnej krwi. Zrozumiałeś?

Kwatermistrz pokiwał głową.

– Rozwiązać go!

Atkins sprawnie przeciął więzy za plecami oficera.

– Kurs na północ! – rozkazał Ramblind. – Żwawo, chłopcy!

Sternik posłusznie skręcił. „Elizabeth” płynęła teraz wprost ku wybrzeżom Cuby. Od strony Jamajki powiał wiatr, żagle napełniły się, okręt nabrał prędkości. Nad oceanem wstawał błądny, zamglony świt.

– Ahooooj! – zawołał majtek z bocianiego gniazda. – Kamraci, patrzcie!

Marynarze stłoczyli się na głównym pokładzie. Wszyscy wpatrywali się w linię horyzontu, pojawiającą się powoli w mgłach i oparach.

Pierwszy krzyknął Atkins. Odebraną kapitanowi perspektywą omiatał przestrzeń wokół nich. Potem zauważyli to wszyscy. Jak okiem sięgnąć ocean był pusty. Pusty!

– Nie ma „Oprawcy”! – wyszeptał ktoś. – Zniknął!

– Nie ma tej kurwy! – ryknął bosman!

– Nie ma!

– Jo, ho, ho, kamraci!

Wnet cały okręt rozbrzmiał wrzawą i okrzykami. Piraci rzucali w górę kapelusze, strzelali z pistoletów.

– Ot i patrzcie, kamraci – przemówił z namaszczeniem Ramblind. – Starczyło pozbyć się Rackhama, a diabeł sam zniknął. I kto miał rację?!

– Wiwat Ramblind! – rozbrzmiało po całym pokładzie.

– Ludzieeee! – rozdarł się jakiś majtek. – Życie uratowaliśmy! Napić się trza!

– Po rum!

– Rumu dawajcie!

Nikt nie powstrzymywał entuzjazmu. Wnet kilkunastu majtków skoczyło do luku, kilka silnych ramion wylało drzwi do składu, a potem wytoczyło ciężkie beczki na pokład. Atkins i Milton odbili wieka siekierami. Majtkowie obstąpili je od razu. Pili wszystkim, czym się dało – nabierali kapeluszkami, czapkami, garnkami. Niektórzy prawie zanurzali głowy w baryłkach.

– Popiją się – rzekł Rackham beznamiętnie do Roberta. – A potem wyrzucą nas za burtę.

Wystrzały z pistoletów wstrząsnęły całym pokładem. Kto żyw z załogi pił na umór z beczek. Pierwsi pijani zataczali się już na deskach.

– Wasze zdrowie, panie Ramblind! – zaryczał pijany cieśla. – To dzięki wam żyjemy!

– Uratowaliście nasze dusze! Rozumiecie, kumotrzy: dusze.

– Kurwa, do nieba pójdziemy teraz! – zawołał Atkins.

– Wiwat Ramblind!

Rackham sprawdził ukradkiem, czy nie da się poluzować więzów. Nie dało się.

– Robercie – rzekł półgłosem. – Robercie... Posłuchaj mnie uważnie...

– Tak, sir.

– Daruj sobie tytuły. Oni... Oni zabiją mnie pewnie niedługo. Nie dbam o to, czy będą przeciągać pod kilem, czy powieszą na rei. Nie chcę, aby ciebie spotkało to samo. Musisz się do nich przyłączyć. Wtedy przeżyjesz.

– Jak to? Nigdy w życiu, panie kapitanie!

– To rozkaz – syknął Rackham. – Słyszałeś? Zawołasz za chwilę Ramblinda i zaczniesz mnie lżyć. Poprosisz, aby cię przyjął do załogi. Nie! – mruknął, widząc, że chłopak szarpie się w więzach. – Robercie, to rozkaz!

– W najbliższym porcie, do którego zawiniecie, urwiesz się Ramblindowi. Pojedziesz na Jamajkę i w pobliżu Kingston znajdziesz Krzywe Skały. Niedaleko od skał rośnie wielki dąb. Odszukasz go bez trudu. W korzeniach drzewa po południowej stronie zakopałem skrzynkę, a w niej pięć tysięcy dublonów. Odnajdziesz je i wrócisz do Anglii. I pójdiesz do szkół, Robercie.

– Do szkół? Jakże to tak, panie kapitanie? Ja wolę żeglować.

– Obiecałem twojemu ojcu, że zostaniesz uczciwym człowiekiem – rzekł Rackham. – A ja zawsze dotrzymuję słowa. Twój stary uratował mi życie. Pora spłacić dług.

– Mój ojciec myślał, że jesteście kupcem, panie kapitanie. Że wy, tego... wanilię i skóry rachujecie, nie, że rozwalacie łby Hiszpanom i własnym kamratom w zamtuzach w Port Royal. Wzięliście mnie na pokład, a teraz posyłacie precz!

– Nie chcę, abyś skończył tak jak ja, Robercie. Moja decyzja jest nieodwołalna. Zabiję cię, jeśli tego nie zrobisz!

– Jakże to tak – zaszlochał sługa. – Chcecie, żebym rzucił morze i został w Anglii jakimś pisarzyną albo psiarczykiem? A może mam kupić sobie farmę i hodować kozy? Jakże to tak, panie kapitanie. Toż mam już prawie szesnaście wiosen. Toż obiecaliście, że jak z rejsu wrócimy, pójdziemy, no, do tej „Słodkiej Trzpiotki” i zrobicie ze mnie mężczyznę? To gdzie wasz honor, kapitanie?

– Nie zabiłeś jeszcze człowieka, Robercie – rzekł Rackham. – Jeszcze nie wciągnęło cię bagno Port Royal. Pamiętaj, że życie korsarza zwykle kończy się na szafocie. Albo na dnie morza z kulą u szyi. A znacznie częściej – bez nóg w Port Royal, żebrząc o kawałek chleba.

– Nie wiem, czy nie zabiłem... Może tam zdarzyło się. Ale wam zawiniłem bardzo, w Port Royal, w zamtuzie. Ja...

– Nie zdążyłeś mi podać broni. No trudno, zdarza się. Aż tak cię to męczy? Daj spokój, Robercie.

– Ale ja...

– Staaaatkiiii! Dwa statki na horyzoncie! – zakrzyknął marynarz z bocianiego gniazda.

Ramblind oderwał się od baryłki z rumem, przy której majtkowie zachwalali jego niewiarygodną odwagę. Większość załogi była już pijana. Stary cieśla podrzemywał przy stosie kul, pozostali przewracali się na linach, padali pokotem, zmożeni mocnym trunkiem.

Bosman przykuśtykał do burty, wyrwał perspektywę Atkinsowi, który przykładał ją do oka z niewłaściwej strony. Faktycznie – na linii horyzontu widoczne były dwa okręty. Jeden wyglądał na slup, a drugi na małego lugra. Na obydwu powiewały hiszpańskie bandery. To nie były okręty wojskowe ani merchanty. Ramblind rozpoznał je od razu. Obydwa statki należały do hiszpańskich korsarzy.

– Chłopy! – ryknął wesoło bosman. – Pozbędziemy się zaraz kłopotów. Ster lewo na burt! Wywiesić niebieską flagę!

„Elizabeth” zwróciła się dziobem w stronę okrętów. Wypalono z działa, chcąc zwrócić na siebie uwagę korsarzy. Niepotrzebnie, bo oba statki dostrzegły już „Elizabeth”. Slup i luger zbliżyły się szybko na odległość armatniego wystrzału. Hiszpania i Anglia nie były ze sobą w stanie wojny, a od kilku miesięcy nie zanotowano poważniejszego konfliktu, więc korsarze nie

otwarli ognia od razu.

Na „Elizabeth” zrefowano część żagli. Fregata zrównała się z Hiszpanami. Niebieska flaga oznaczała wszak pokojowe zamiary.

Z pokładu Ramblind dostrzegali kapelusze hiszpańskich piratów. Zamachał ręką, pokazując, że chce rozmawiać. Wnet na hiszpańskim lugrze opuszczono szalupę z kilkoma majtkami i oficerem. Łódź zbliżyła się na odległość głosu.

– Ja nie hablam po hiszpańsku – mruknął Ramblind do Miliona. – Przekaż im, że mamy Rackhama!

Milion zamachał rękoma, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

– Ahoj! – krzyknął – My mieć dla was upominek!

– Czego chcecie, seniores? – zapytał w odpowiedzi Hiszpan. – Potrzebujecie pomocy?

– Złapaliśmy angielskiego pirata, Johna Rackhama! Wydajemy go wam!

Korsarze spojrzeli po sobie. Rackham Szczęściarz nie od dziś dawał się we znaki pomniejszym hiszpańskim koloniom i statkom. Gubernator Maracaibo już dawno wyznaczył za niego nagrodę.

– Dlaczego go wydajecie?

– Podpadł u gubernatora, który kazał się go pozbyć!

Hiszpanie przez chwilę naradzali się głośno.

– Czy to aby na pewno ten Rackham?! Johnny Szczęściarz?

– Ten sam! – Pokiwał głową Milion.

– Ile za niego chcecie?

Ramblind roześmiał się. Część majtków zarechotała.

– Bierzcie go za darmo!

– Spuście szalupę na wodę – zakomenderował hiszpański oficer. – Przyślijcie do nas więźnia i dwóch majtków. I żadnych sztuczek, senior! Nasze armaty mierzą w was!

Ramblind obrócił się z uśmiechem w stronę Rackhama. Skinął na Atkinsa i jego pomagierów. Kapitan nie patrzył na niego. Było mu już wszystko jedno. Wydanie w ręce Hiszpanów, jego najgorszych wrogów, oznaczało szubienicę albo jeszcze gorszą śmierć od garoty, ale tak czy owak, było o niebo lepsze niż powolne przeciąganie pod kilem. Bezmyślnie liczył maszty lugra. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Jakim cudem taki mały stateczek miał ich tyle??? To nie były maszty lugra! Za nim przepływał inny okręt!

Ogromny czarny galeon stanął burta w burtę z hiszpańskim lugrem. Wszystkie działa dały ognia prawie jednocześnie. Ogromne kule wyrwały dziury w poszyciu, zatrzęsły statkiem, złamały maszt, cisnęły daleko w morze bale i deski! Hiszpański okręt przechylił się na burtę, nabrał wody i zaczął tonąć. „Oprawca” przemknął obok niego jak duch. Pędził prosto na slup, na którym zaskoczeni marynarze dopiero teraz stawiali żagle. Rozpędzony galeon wpadł na rufę,

staranował statek, zmiażdżył poszycie. Jak cień ptaka przemknął obok hiszpańskiego okrętu, a potem zaczął robić zwrot, aby zwrócić się w stronę „Elizabeth”.

Piraci zamarli. Pijani majtkowie wytrzeźwieli w jednej chwili, śpiący otwarli oczy. A Ramblind drżał. Stał i patrzył, trzymając w ręce bukłak z rumem.

– Do żagli! – ryknął Rackham. – Postawić żagle, śmierzcie! Bo pójdziecie na dno!

Marynarze, mający widać jeszcze w pamięci dni chwały Rackhama, posłuchali go od razu. Rzucili się do lin, żagli i kabestanów.

„Elizabeth” złapała wiatr w żagle. Pomknęła przez ocean prosto na wschód. Kilwater za rufą zapienił się wściekle. Galeon ruszył za fregatą trop w trop. Jeszcze chwila, a uderzyłby w okręt i staranowałby go tak samo jak statki Hiszpanów!

Na pokładzie nikt się nie poruszał. Majtkowie ocierali pot z czoła. Ich spojrzenia wędrowały po linach, nadbudówkach, wantach, gretingu, aż wreszcie spoczęły na Ramblindzie. Bosman zadygotał, ale na jego obliczu nie widać było strachu. Jednym szybkim ruchem wy dobył kordelas z pochwy.

– Gadałeś, Ramblind, że jak pozbędziemy się kapitana, to czarny diabeł zniknie – rzekł wolno Milton. – I co, kurwa? Rackham przykuty do masztu, a „Oprawca” idzie naszym śladem jak pies za suką.

– Nie pozbyliśmy się jeszcze kapitana – odparł bosman. – Jak pójdzie za burtę, pozbędziemy się „Oprawcy”. Daję za to głowę!

– No patrzcie, kumotrowie, on daje głowę. Ty już swoją położyłeś, Ramblind! – syknął Levis. – Bo jak wyrzucimy kapitana, a „Oprawca” nas nie odstąpi, to jak myślisz, kto będzie następny w kolejce? A kto nam zaręczy, że jak tu nie będzie Szczęściarza, to kat zniknie?

Ramblind cofnął się o krok, oparł o ścianę rufowej nadbudówki. Marynarze szli w jego stronę, wolno, nie śpiesząc się.

Rackham poczuł, jak więzy przyciskające go do masztu poluzowały się. Levis przeciął je swoim marynarskim nożem. Z drugiej strony stał Morgan. Podawał kapitanowi kordelas i nabite pistolety.

– Ruszaj się! – syknął. – Naucz tę bandę moresu!

Kapitan zaklął, rozcierając zdrętwiałe dłonie. Chwycił broń, a potem skoczył na rufę. Nikt nie patrzył w jego stronę. Marynarze otaczali Ramblinda coraz ciasniejszym kręgiem.

– Mówię wam jeszcze raz, do kurwy nędzy! Wy zakute łby! To Rackham jest temu winien! To on ściągnął nas tutaj, podpisał z Morrisem pakt i oddał mu nasze dusze...

Rackham wyszedł wolno z kręgu marynarzy. Stał, opierając się na kordelasie, patrząc szyderczo prosto w oczy bosmana.

Piraci zaszumieli. Ktoś chciał rzucić się w stronę kapitana, ktoś inny porwał za broń. Zdawać by się mogło, że dojdzie do rozlewu krwi, gdy nagle na środek koła wyskoczył Morgan.

– Stać! – ryknął donośnie. – Stać, skurwiele! Nie mieszać się! To ich sprawa! Niechaj się rozstrzygnie!

– To sprawa kapitana i Ramblinda!

– To ich sprawa. – Poparło go kilka głosów.

– Chodź, Ramblind – warknął Rackham. – Załatw mnie! Skończmy spór jak mężczyźni.

Ramblind patrzył na niego złowrogo. W tej jednej chwili mógł stracić wszystko. Jednak gdyby wygrał...

Skoczył do przodu z wyciem, zadając z podlewu cios kordelasem. Gdy Rackham sparował go, bosman świsnął w powietrzu hakiem u lewej ręki. Kapitan uchylił się prawie w ostatniej chwili. Mierzące w oczy ostrze przemknęło mu tuż przed nosem. Szczęściarz ciął na odlew, bosman uchylił się!

Wypadli na środek pokładu, roztrącając marynarzy. Piraci śledzili ten pojedynek w napięciu. Wszystkie oczy były błyszczące i niespokojne. Ta walka miała wyłonić dowódcę. Dla jednych wynik pojedynku oznaczał śmierć. Dla innych był wybawieniem.

Walczyli zdyszani, wściekli. Ramblind ciął wręcz, zasłonił się, a kapitan doskoczył do niego i wypadł z szybkim jak błyskawica pchnięciem. Ramblind osłonił się w ostatniej chwili! Przyjął cios pod pachę, a sam chlasnął hakiem po lewym ramieniu Rackhama. Kapitan jęknął, na pokład trysnęła krew.

– Koniec! – zawył bosman. – Koniec szczęścia, Johnny!

Rzucił się do przodu, młóćąc kordelasem jak cepem. Rackham z trudem zrobił unik – wywinął się w ostatniej chwili spod ostrza, uskoczył w tył, a potem odbił z całą mocą ostrze kordelasa, skoczył i jednym susem znalazł się na relingu. Ramblind zawył triumfalnie i rzucił się w jego stronę. Ciął z zamachu wlew, potem wręcz, przecinając linę want. Napięty sznur świsnął w powietrzu. Rackham skoczył! Wylądował na baryłce rumu, przetoczył się na pokład, ciął z podlewu, potem w kiść. Ramblind ruszył nań i zawył. Jego drewniana noga uwięzła w szparze między deskami. Nadaremnie szarpał nią w tył i w przód...

Rackham skoczył nań, odtrącił jego klingę, a potem przyłożył bosmanowi ostrze kordelasa do gardła.

Ramblind zamarł. Odrzucił broń, a potem zarechotał głośno.

– He, he, witam, kapitanie Rackham. Będziecie znowu szyprem i załatwicie chłopakom podróż prosto do piekła!

Chwycił drewniany kulas i wyszarpnął z dziury. Rackham napał na niego, a bosman cofnął się w stronę burty.

– Do zobaczenia na uczcie u diabła! – ryknął wesoło. – Levis, Milton, stare druchy, jakże miło będzie smażyć się pospołu w smole.

Cofając się, oparł plecami o nadburcie. Zarechotał znowu.

– Co tak rżysz, Atkins! – zawołał. – Kiedy nas sparło, nie chciałeś wychędożyć tej cioty Jima pod pokładem. W piekle będziesz szukał dziury w kotle, żeby tam wsadzić kutasa. He, he, kto inny cię tam wychędoży, skurwysynu! Pochodnią w dupę!

– Kończ już, Ramblind! – syknął Rackham.

Bosman posłusznie przełożył drewnianą nogę przez burtę. Podciągnął się na rękach...

– Powodzenia, stare diabły! – ryknął. – Złamanego masztu i stengi!

Skoczył do morza. Do uszu marynarzy dobiegł głośny plusk. Morska woda trysnęła w górę, ochlapała pokład.

Rackham stanął przed załogą, ranny, zakrwawiony, z rozpalonym wzrokiem. Spojrzał na rufę, gdzie jakieś pół mili za „Elizabeth” kołysał się na falach „Oprawca”.

– Nie ma przed nami odwrotu! – powiedział. – Nie pozbedziemy się „Oprawcy”! Statek przecieka, kadłub jest w strzępach! Możemy albo gnać przed siebie do pierwszego sztormu, albo pokazać temu czarnemu skurwielowi – wskazał galeon – że jeszcze mamy jaja! Co wybieracie, chłopaki?! – Nie mamy z nim szans w walce – powiedział, trzymając się za ranę na lewym ramieniu. Krew kapłała na deski pokładu. – Potrzaska nas z dział, zatopi z kartaun. Ale pozostaje nam abordaż. Nie wiem, czy ten statek jest przeklęty, czy nie, ale zdobędziemy go! Klnę się na Boga i na diabła, że wejdziemy na jego pokład i sprawdzimy, kto stoi za kołem sterowym! Wybór należy do was. I śmierć nam albo chwała!!!

Nikt się nie odezwał. Nikt nie krzychał. Rozumieli się bez słów.

Kapitan spojrzał na czarny galeon. Na postrzępione żagle, na zwisające z rei zwłoki piratów otoczone chmarami ptactwa. Co za tajemnicę ukrywał ten statek? Czy rzeczywiście był przeklęty?

– Do roboty! – ryknął. – Przygotować łodzie i szalupy!

Śmierć i chwała

Wyłynęli z cienia na morze rozświetlone księżycowym blaskiem. Czarny kontur galeonu zamajaczył daleko przed nimi. Marynarze napaarli na wiosła, a Rackham poczuł, jak serce zaczyna bić mu coraz mocniej. Wszak postawił wszystko na jedną kartę!

Nie dalej jak milę od ścigających „Elizabeth” szła półwiatrem w stronę lądu. Kapitan wprowadził ją między skały tej nie nazwanej przez nikogo wysepki. Tu, zasłonięci przed wzrokiem „Oprawcy”, zeszli do łodzi i zaczęli się w mroku przy jednej ze skał. Rackham zakładał, że „Oprawca” po wejściu między skaliste klify dalej będzie ścigał „Elizabeth”. A wówczas oni mieli dopłynąć do jego burty i dokonać abordażu, aby ostatecznie rozprawić się z piekielnym galeonem!

Marynarze napierali na wiosła. Rackham ocenił odległość. Zbliżali się szybko do wysokiej, czarnej burty. Wszystko wskazywało na to, że na „Oprawcy” ich nie zauważono. Kapitan dał znak marynarzom, trzymającym bosaki i liny z hakami, pomacał umieszczoną za pasem kaczą stopę i wydobył cutlas.

Burta „Oprawcy” zbliżała się... Jeszcze trzydzieści stóp, jeszcze piętnaście, dziesięć!

– Dalejże, kamraci! – ryknął Rackham. – Do abordażu! Na przyz!

– Za złoto, za skarby!

– Bij skurwysynów!

Haki abordażowe świsnęły w powietrzu i opadły na nadburcie galeonu. Łodzie piratów zderzyły się z potężnym statkiem. W mroku błysnęły ostrza kordelasów i pałaszy. Rackham chwycił linę abordażową, zaparł się nogami o burtę i począł wspinać się w górę. Z kilkudziesięciu gardeł natychmiast wyrwała się bojowa pieśń.

*Jam jest pan kapitan Śmierć,
Każdy śmiertelnik musi oddać mi cześć,
Wszystkich ich wyduszę, zginą z moich rąk,
Kto śmie się sprzeciwić, zazna srogich mąk!*

Szybko jak błyskawica, z małpią zręcznością, piraci poczęli piąć się w górę. Rackham jako jeden z pierwszych dotarł do relingu. Podciągnął się i z cutlasem w zębach skoczył na pokład „Oprawcy”. Tuż obok z łoskotem lądowali na deskach kolejni marynarze. Rackham chwycił za broń, rozejrzał się za wrogiem. Ale pokład okrętu był pusty!

Galeon kołysał się na falach. Porwane żagle łopotały głośno. Z góry dochodził skrzyp lin – powieszeni na rejach piraci kołysali się w rytmie morskich fal.

Co, do diabła? – pomyślał Rackham. – Co tu się dzieje?! Kto tu dowodzi? Kto płynął na tym statku? Przecież widziałem marynarzy?

– Morgan – rzucił do oficera. – Weź dziesięciu ludzi, sprawdź kubryk i forkasztel! My idziemy na rufę.

Skinął na marynarzy i ruszył w stronę tylnych nadbudówek. Piraci przekradali się ostrożnie, rozglądali na boki. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Statek był opuszczony.

Rackham wyminął stosy beczek, obszedł kabestan, a potem zamarł.

Za kołem sterowym stał wysoki, długowłosy mężczyzna w poszarpanym kapeluszu. Kapitan skinął na majtków. A potem przyskoczył bliżej.

– Witaj, panie Rackham. Czekałem na was, panie kawalerze.

Johnny Szczęściarz zamarł. Przy kole stał... Andrew Sparrow. Kapitan, którego dziennik pokładowy odnaleźli ludzie Joskowitza, który przepadł przed miesiącami w czasie sztormu...

Wprowadził ich w pułapkę!

Rackham rozejrzał się. Nad głową Sparrowa kołysały się bosc stopy kilku majtków powieszonych na najniższej rei bezanmasztu. Trzy trupy leżały u stóp kapitana w kałuży krwi.

Czyżby Sparrow zabił własnych ludzi? O co, do kurwy nędzy, w tym wszystkim chodziło?

– Panie Sparrow, chciałeś nas zabić. Zatopiłeś „Roanoke” Cunninghama. Wprowadziłeś nas w zasadzkę, podsuwając fałszywe informacje o hiszpańskim galeonie „Santa Maria”. Ścigałeś nas przez trzy dni. Rozbiłeś i potopiłeś dwa statki hiszpańskich korsarzy. Mam zatem tylko jedno pytanie: dlaczego to zrobiłeś?

Sparrow odszedł od koła. Zdjął kapelusz, a Rackham zadrżał. Włosy pirata, który nie był wszak dużo starszy od Szczęściarza, były białe. Jego twarz wyglądała strasznie – wysuszona i wyschnięta jak oblicze trupa. Wielkie, ciemne oczy patrzyły nieprzytomnie.

Pirat ukląkł przed Rackhamem i pochylił głowę.

– Tak – wycharczał. – Ścigałem was... Zatopiłem Cunninghama, a potem podjąłem go z morza i powiesiłem na rei... Ale dzięki wam dopełniło się wreszcie moje przeznaczenie. Teraz ty, panie Rackham, obejmiesz dowodzenie na tym przeklętym statku. Proszę cię o łaskę. Zabij mnie!

– Ty kur...! – syknął Levis i zamachnął się kordelasem, ale Rackham chwycił go za rękaw.

– Za co chciałeś nas zabić, panie Sparrow? I co tu się w ogóle dzieje? Dlaczego się nie broniłeś?

– Panie Rackham, przestań, proszę, trzepotać jęzorem. Zabij mnie!

– Zarąbmy skurwiela! – krzyknął jeden z marynarzy. – Poderżnijmy mu gardło za Czarnego Rotha.

– Cześć! – Wstrzymał ich Rackham. – Panie Sparrow, kto kazał zwabić mnie w pułapkę?

Pirat zarechotał.

– Sam diabeł uznał, że już czas, abyś odpokutował za swoje winy. Twój los się dopełnił, kapitanie. No, dalejże, tchórze, odetnij mi łeb! Niechże się to wszystko skończy.

Rackham schował broń do pochwy.

– Najpierw wyjaśnij mi, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wierzę w przeznaczenie i marynarskie bajdy o upiorach. Dlaczego zabiłeś swoich ludzi? Skąd wzięłeś ten statek?

Sparrow zerwał się na nogi. Zrobił to tak szybko, że piraci skoczyli w tył. Kapitan „Oprawcy” rzucił się w stronę burty, uchwycił want i zaczął wspinać.

– Łapcie go! – krzyknął Rackham. – Nie pozwólcie mu uciec!

Marynarze rzucili się za Sparrowem. Nie zdążyli... Zwinnie jak kot kapitan wdrapał się na niższą reję, ukreślił pętlę z końcówki przeciętej liny, a potem założył ją sobie na szyję.

– Sparrow, nie! Nie rób tego!

Pirat spojrział na Rackhama spokojnym, beznamiętnym spojrzeniem.

– Do zobaczenia w piekle, Szczęściarzu!

Zeskoczył w dół. Stryczek zatrzymał go w pół drogi pomiędzy reją a pokładem. Sparrow zawisł, wierzgnął kilkakrotnie nogami, a potem uspokoił się i zakołysał. Jego wytrzeszczone oczy wpatrywały się w Johnny ego Szczęściarza.

Piraci umilkli. Marynarze zaczęli się żegnać, ktoś mruczał modlitwę.

– Kurwa mać! – zaklął Rackham. – Co tu się dzieje? Co to za przeklęty statek?!

Szybko zeszli na śródokręcie. Morgan wrócił z dziobu. Zdał krótką relację. Okręt był pusty. Na forkaasztelu, w kubryku, w ładowniach – nigdzie nie było żywej duszy.

Rackham oparł strudzone ręce na relingu. Spojrzał na morze. Daleko na linii skał dogorywała właśnie „Elizabeth”. Pozostawiona samopas fregata wpadła na skały. Już tylko rufa sterczała nad falami.

– Obsadźcie okręt – rozkazał. – Sprawdźcie, co jest w ładowniach. Postawcie żagle. Kurs na Jamajkę!

Majtkowie ruszyli niemrawo, aby wypełnić polecenia. Rackham położył dłoń na ramieniu Morgana.

– Chodźmy do kapitańskiej kajuty.

Ruszyli na rufę. Drzwi były otwarte. Szybko przeszli przez korytarzyk i stanęli na progu kabiny kapitana „Oprawcy”. Pomieszczenie było urządzone dostаточно, choć na sprzętach, fotelach i dywanie leżała gruba warstwa kurzu.

Rackham otworzył okiennicę, wpuszczając więcej powietrza do kajuty. Morgan przetrząsał kufry i szafy. W końcu znalazł grubą księgę.

– Patrz, dziennik okrętowy.

Zasiedli przy stole. Kapitan przerzucił pierwszą kartę. Przebiegł oczyma wyblakłe rządki pisma. Odszukał podpis kapitana i zamarł... W księdze widniał podpis Johna Morrisa.

– Patrz, to naprawdę był statek Morrisa.

Morgan pokiwał głową. Znalazł butelkę rumu i rozlał płyn do szklanic. Kapitan przeglądał dalej dziennik. Ostatni wpis Morrisa pochodził z 4 czerwca 1672 roku, kiedy okręt kierował się na Bahamy. Potem następowała przerwa – Rackham przewracał puste kartki. Aż wreszcie znowu znalazł wpis.

– *23 października Anno Domini 1673 – przeczytał – przejąłem ten okręt w imię Opatrzności Bożej ja, Thomas Red.*

Red, dzielny pirat, o którym wielokrotnie opowiadano Rackhamowi. Zaginął w czasie wyprawy po złoty tron Huapatoteca.

Dalej były wpisy, notatki i nieczytelne gryzmoły. Kapitanowi nie chciało się tego czytać. Przeglądał je pobieżnie i nagle zamarł.

Sześciu ludzi powiesiło się dziś w nocy! Nie wiem, co się dzieje! Ten okręt jest przeklęty.

27 października AD 1673. Dziś przyszli do mnie znowu. Muszę im ulec, zrobić to, co kazali. Inaczej nie zaznam spokoju. Panie Boże, miej w opiece nasze dusze...

3 listopada AD 1673. To już koniec. Jesteśmy przekłęci. Kreślę te ostatnie słowa, a potem pakuję sobie kulę w łeb. Panie, wspomóż mnie w tej ostatniej godzinie.

Rackham zadrżał. Przeglądał dziennik dalej.

Po długiej walce zdobyliśmy statek. Niedobitków z załogi kapitana kazałem powiesić na rejach. Kapitan śmiał mi się w oczy i obiecał spotkać się w piekle.

16 lutego AD 1675. Ten statek to pułapka. Każdy, kto to czyta, jest zgubiony. Nie sposób stąd uciec – nie możemy spuścić łodzi. Davis uciekł w pław. Ni stąd, ni zowąd pojawiły się rekiny.

Wspomnienie przeszłości prześladowuje mnie. Nie ucieknę z „Oprawcy”, bo ciąży na nim klątwa. Ludzie chcą powiesić mnie na rei...

Weszliśmy na ten opustoszały statek. Nie chce mi się czytać tych bzdur o pokutujących duszach. Płyniemy na Martynikę zajrzeć do kabzy francuskim kupczykom. Skazałem na śmierć Plichtrona za to, że podburzał załogę do buntu i gadał, że „Oprawca” jest przeklęty. Ha, ha, co za bzdury! 24 lipca AD 1676.

I następny wpis:

Byłem głupcem... „Oprawca” to przedsionek piekieł. Musimy znaleźć kogoś, kto przejmie od nas stery. Nie sposób stąd uciec! Nie wiem, co robić. 26 lipca AD 1676.

Boże Wszechmocny, uciekamy się pod twoją ochronę. Ja, kapitan Fergus Wyatt, kwatermistrz Henry Vasquez i 33 marynarzy. 2 sierpnia AD 1678.

To szaleństwo. Żywe trupy kroczą po rejach. Wieszają moich ludzi. Słyszę, jak idą po mnie. Wszystko dlatego, że sprzeciwiłem się ich rozkazom... Słyszę, jak wchodzą po schodach – to Matt i Hawking, ci, którym poderzynałem gardła. Już stukają...

Podpisu nie było. Przez cały dół kartki ciągnęła się wielka, zaschnięta plama atramentu.

Rackham oderwał wzrok od dziennika. Spojrzał na Morgana.

– Co to znaczy, do diabła? – zapytał.

– Ramblind gadał prawdę – szepnął Morgan. – Ten okręt jest przeklęty.

Rackham poszukał ostatniego wpisu, ale zamiast niego znalazł dużą lukę. Część kartek wyrwano z dziennika. Sięgnął za pazuchę i wy dostał papiery, które dał mu Joskowitz. Przyłożył wyrwane karty do brzegu księgi. Pasowały. A zatem ludzie Żyda naprawdę wyłowili z wody część dziennika Sparrowa. A więc Joskowitz był bez winy. To Sparrow próbował wciągnąć ich w zasadzkę. Ale dlaczego? Po co? Przecież Rackham nigdy nie dawał mu okazji do zwady, a Sparrow nie mógł liczyć na żaden łup. Dlaczego więc gonił za nimi tyle czasu? Dlaczego się powiesił? Co takiego działo się na tym statku?

Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść!

Do kabiny wsunął się Levis.

– Sir, przeszukaliśmy cały statek. Nie ma tu żywej duszy. Wygląda na to, że załoga uciekła albo...

– Co znaczy albo?

– Albo powiesiła się, sir!

– Nie gadaj bzdur. Co z ładowniami?

– W ładowniach są zapasy, rum, suchary, kule i proch. Żadnych towarów. Sir, tu nie ma również szczurów.

– W porządku. Doprowadzimy galeon do Port Royal i sprzedamy. Levis!

– Tak, sir!

– Jutro rano weźmiesz dziesięciu ludzi i uprzątniecie trupy z masztów. Wszystkie zwłoki wyrzucicie do morza.

– Tak, sir!

– Możesz odejść!

Levis nie poruszał się.

– Coś jeszcze?

– Sir, nie możemy opuścić łodzi.

– Co takiego?

– Nie możemy poruszyć szalup. Nie da się ich opuścić.

Rackham przygryzł wargi. Do stu diabłów, co tu się działo?

– Sprawdźmy je jutro. Może się zaklinowały. A teraz rozstawić warty i spać!

– Ay, ay, sir!

Rackham ukrył twarz w dłoniach.

– Pora spać – rzekł do Morgana po chwili. – Jutro opuścimy ten przeklęty okręt na zawsze.

„Oprawca”

Ktoś delikatnie dotykał jego pleców. Miękkie dłonie sprawnie rozsznurowały koszulę pod szyją Rackhama, ciepłe usta przywarły do jego szyi, przesunęły się w dół razem z dłońmi i zaczęły pieścić pośladki. Leżąc w półśnie na łóżku kapitana „Oprawcy”, Rackham poczuł na karku gorący oddech. Czyjś język dotknął jego ucha, pieścił je coraz mocniej i mocniej. Czyjeś ręce zaczęły szukać jego męskości.

– Boney? – wyszeptał Rackham. – Boney, czy to ty?

– Nie, mój przyjacielu – odparł cicho znajomy głos. Rozbudzony kapitan przewrócił się na drugi bok, pomacał ręką za sobą, a potem, gdy zamiast miękkiego, kobiecego ciała, dotknął

mokrego sukna, pasa i rękojeści rapieru, zerwał się, wyskoczył z łóżka i...

Zawył ze zgrozy, zatrzęsł się cały...

Był świt, przez okna przesączał się pierwszy brzask dnia. A na łóżku siedział sir Thomas Cunningham!

Wpatrywał się w kapitana otwartymi, pustymi oczyma wisielca. Na jego nabrzmiałej szyi ciągle zaciskała się pętla, koniec sznura opadał na łożo.

– Johnny – rzekł pieszczotliwie pirat. – Johnny, chodź do mnie...

– Przecież ty nie żyjesz!

Cunningham zaśmiał się krótkim, charkotliwym śmiechem.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie, kotku? Jesteśmy już po drugiej stronie tego, co nazywasz życiem. Chodź do mnie, będzie nam dobrze. Zawołam też Orlando, jeśli chcesz. Razem będzie... cieplej.

Rackham porwał cutlas. Cunningham roześmiał się znowu.

– Co ty chcesz zrobić? – zapytał. – Mówię wyraźnie, nie żyję! Przecież dopiero co zszedłem z rei. Porzuciłeś mnie na morzu, z którego podjął mnie ten statek i powiesił... Na rei. Dwa dni temu.

– Roth – szepnął Rackham. – Wybacz... Nie mogłem cię uratować. Nie było czasu, ten piekielny „Oprawca”...

– To naprawdę nie ma już znaczenia, Szczęściarzu. Przyszedłem tu, aby wyjaśnić ci sytuację, w której się znalazłeś. Zasiądź zatem do stołu i posłuchaj.

Kapitan zrobił, co mu kazano. Napelnił szklanice rumem. Podniósł naczynie do ust, ale nie czuł prawie smaku. Cunningham usiadł na krześle.

– Historia, którą opowiadał Ramblind, jest prawdą – rzekł. – Ten statek rzeczywiście należał kiedyś do Johna Morrisa, pirata, który zdradził korsarskie bractwo i zaciągnął się na służbę do wicegubernatora Jamajki. Został jednak zwabiony w zasadzkę i powieszony na najwyższej rei. Przed zgonem Morris rzucił przekleństwo na ten galeon. Zapowiedział, że po jego śmierci „Oprawca”, na którym odbył tyle wspaniałych rejsów, stanie się postrachem piratów, a morscy rozbójnicy zapłacą słono za swoje nikczemności. Tej samej nocy statek zerwał się z kotwicy i podryfował na morze. Tę wersję historii już znasz. Nie wiesz jednak tego, że przez pokład „Oprawcy” przewinęło się już ze dwa tuziny piratów, którzy razem z załogami zostali postawieni w takiej samej sytuacji jak ty, monsieur Rackham. Wszyscy cierpieli tutaj za swoje winy, odbyli długą pokutę. A gdy w końcu powiesili się na rejach albo znaleźli następców, diabeł porwał ich dusze do piekła.

– Wybacz, ale nie bardzo cię rozumiem...

Czarny Roth położył rękę na kolanie Rackhama. Tym razem jego dłoń była lodowata.

– Nigdy nie opuścisz tego statku, monsieur Rackham. Pozostaniesz na „Oprawcy” aż do swej

śmierci i będziesz tropił piratów, zabijał ich, niszczył bukanierskie statki. A gdy odpokutujesz swoje winy, gdy znajdziesz następcę, który poprowadzi „Oprawcę”, będziesz mógł zakończyć swoją tułaczkę.

Andrew Sparrow, przemknęło przez głowę Rackhama. On też został schwytyany przez „Oprawcę”. Dlatego wciągnął nas w zasadzkę. Dlatego nas gonił... Chciał, aby ktoś przejął po nim okręt.

Zdecydowanym ruchem strącił lodowatą, siną dłoń Cunninghama ze swojego kolana.

– A co, jeśli nie zechcę walczyć z piratami? Cunningham pochylił się tak blisko, że prawie musnął językiem ucho Rackhama.

– Wtedy, monsieur Rackham, będę przychodził do ciebie częściej. Mon Dieu! Zapomniałem ci powiedzieć: nie będę przychodził do ciebie sam.

Ucho Rackhama wychwyciło zbliżający się wolno stukot drewnianej nogi. Dochodził z korytarza. Kapitan poznał go od razu i włosy stanęły mu dęba. To była drewniana noga Van Beltroopa, którego zamordował w zwadzie w burdelu mamy Fratelli w Port Royal. Rackham zadrżał. Stukot ucichł tuż u drzwi. A z korytarza doszło go łkanie. Szloch Boney! Kapitan dopadł do drzwi i zatrzasnął rygiel.

– Czy mam zaprosić kogoś w gości, monsieur kapitan? – zapytał Czarny Roth, uśmiechając się szyderczo. – Z pewnością mieliby ci wiele do opowiedzenia. Czy jednak wystarczy ci tylko moje towarzystwo?

Rackham jęknął. Broń wypadła mu z ręki. Teraz już wiedział, że trafił na samo dno piekła.

– Nie zdołasz opuścić tego statku, Rackham. Nie rozbijesz go na skałach, bo on przemknie jak duch nad rafami i mieliznami. A zatem nie pozostaje ci nic innego, jak tylko zacząć wypełniać pokutę.

– Kto... Kto nas wystawił? Joskowitz? Sparrow? Gubernator?

– Sparrow zaginął dwa miesiące temu. Jego brygantyna napotkała „Oprawcę” i została potrzaskana z dział. Jednak Sparrow z częścią załogi dostał się na pokład statku i zabił dowodzącego nim kapitana. A potem dowiedział się o tajemnicy „Oprawcy”. I nie wytrzymał, postanowił znaleźć kogoś, kto przejmie po nim statek. Porzucił zatem koło wysp Antiles część swojego dziennika z notatkami na temat rzekomego hiszpańskiego galeonu i jakieś deski ze statku – chciał upozorować katastrofę. Odnaleźli je agenci Joskowitza i właśnie w taki sposób wpadliśmy w pułapkę.

Rackham zwalczył w sobie chęć, aby paść na kolana. Nie mógł tego zrobić... Johnny Szczyściarz odmawiający paciorki... Nie, to byłoby zbyt straszne.

– Tak, monsieur! Najwyższy czas zacząć się modlić!

– Zabiję się! Nie wytrzymam tego długo.

– Droga wolna. Dalej, strzel sobie w łeb. A wówczas ja wyjdę ci na powitanie do samych

wrót piekieł!

Rackham milczał. Nagle gdzieś w kubryku rozległy się wrzaski, strzały, jęki. Ktoś biegł korytarzem, krzycząc. Cunningham uśmiechał się.

– Twoi ludzie już się pobudzili. Nie tylko ty miałeś tej nocy gości, kapitanie.

Rackham pociągnął spory łyk rumu. Otrząsnął się jak pies. Całkowicie stracił smak w ustach.

– Zabierz mnie do piekła, ale wypuść moją załogę – rzekł głucho. – Wiem, nagrzeszyłem strasznie, ale oni tylko wykonywali moje rozkazy...

Czarny Roth roześmiał się.

– Kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem – powiedział. – Kto jest bez występku, ten może bez przeszkód opuścić „Oprawcę” i udać się, dokąd zechce. A na którym z twoich piratów nie ciąży występki? Mówię oczywiście o śmiertelnych grzechach. Który z twych morskich wilków nie zabijał, nie gwałcił, nie mordował? Jest-li taki w tej zgrai? Jest na tym pokładzie chociaż jeden sprawiedliwy? Jeśli tak – to wsadź go w szalupę i odeślij na ląd.

Rackham milczał. Ale w jego głowie zaświtała isierka nadziei.

– Zatem, monsieur kapitan, przekazuję w twoje ręce najpotężniejszy okręt, jaki widziały te wody. – Cunningham wstał i sięgnął po kapelusz. – Mam nadzieję, że odpowiednio wykorzystasz jego siłę i potężnie zaszkodzisz piratom. A spraw się dobrze, bo inaczej następne... odwiedziny nie będą należeć do przyjemnych!

Roth poklepał Rackhama po policzku. A potem wyszedł z kajuty.

Kto jest bez grzechu...

Dzień wstawał ponury i smutny. Morze pienilo się wściekle, uderzało o burty statku, strzelało bryzgami piany.

Załoga Rackhama zgromadziła się w milczeniu wokół grotmasztu. Kapitan nie potrzebował nic tłumaczyć. Tej nocy historia „Oprawcy” wyjaśniła się sama. Nie wszyscy przetrzymali koszmary. Dwa świeże ciała kołysały się na bukszprycie. Morskie fale omywały je, podrzucały w górę, jakby ocean bawił się ludzkimi szczątkami.

– Tak – zabrał w końcu głos Rackham. – Jesteśmy przeklęci. Ale nie myślcie, że znaleźliśmy się tutaj dlatego, że was oszukano. Że wpadliście w pułapkę. Nie, moi mili! Trafiliśmy tu, bo przez całe życie żyliśmy w grzechu. Bo napadaliśmy, rabowaliśmy, gwałciliśmy i przepuszczaliśmy złoto w zamtuzach, płacąc nim za wdzięki francowatych kurew w Port Royal. I za to teraz będziemy pokutować. Będziemy pływać na tym przeklętym galeonie do chwili, gdy znajdziemy piratów, którzy nas zastąpią.

Morgan roześmiał się chrapliwie. Splunął krwawą śliną na pokład.

– Oczywiście, możecie w każdej chwili powiesić się na rei albo strzelić sobie w łeb. Ale nie myślcie, że pójdziecie wówczas do nieba. Traficie na samo dno piekła i będziecie smażyć się tam aż do dnia sądu ostatecznego! Więc chyba lepiej odwlec trochę ten przykry moment?!

Zapadła cisza. Mewy skrzeczały, oskubując wisielców.

– Ten z nas, który jest bez grzechu... bez ciężkiego grzechu, może opuścić okręt – rzekł głucho Rackham.

Piraci zaszemrali. Kilku padło na kolana i zaczęło się modlić. Ktoś płakał, inni przeżegnali się. Morgan zarechotał paskudnym śmiechem.

– Naprawdę rzygać mi się chce, jak widzę takich parszywych śmierdzieli jak wy – ryknął. – Kurwa, chcecie żałować za grzechy? Będziecie tu klepać godzinki? Obiecywać poprawę? Kurważ mać, Milton, nie patrz na mnie tak błagalnie! Dlaczego składasz rączki do Bozi? Miesiąc temu tymi rękoma poderznąłeś gardło holenderskiemu kupcowi, choć cię błagał o łaskę i powiadał, że czekają na niego małe dziatki! A ty, Levis, co? Padłeś na kolana i będziesz się modlił do Pana Boga? Pan Bóg nie słucha takich szmatławych łajdaków jak ty! Szkoda, że nie modliłeś się do Bozi wtedy, kiedy razem z połową załogi chędożyliście po kolei kapitańską córkę z bryga „Neptun”! Tacyście byli wyposzczeni, że rzuciła się do morza, bo od gwałtów pomieszały się jej zmysły!

Kwatermistrz przeszedł się między chłopcami Rackhama.

– Podrzynacz, kamracie! – zawołał. – Ty płaczesz? Patrzcie, jak ten szelma boi się o swoją nieśmiertelną duszyczkę. Pomyśl, kurwa, lepiej o tych wszystkich kupcach i żołnierzach, których posłałeś na dno. Którym wydłubałeś serca albo rozwalisz łby. Każdy z nich miał po kilka uroczych dziątek, które do dziś wypatrują, kiedy tatko wróci z rejsu. I modlą się do Boga, aby zachował go żywego. I wymodliły karę dla ciebie, bo będziesz zdychał na tym galeonie aż do dnia sądu ostatecznego. Atkins, kurwa, ty się żegnasz?! A może się nawrócisz? Zostaniesz katolikiem i wstąpisz do zakonu? Na to już, kurwa, za późno. Nie trzeba było palić żywcem ludzi i wieszać ich za żebro, aby wydali, gdzie mają złoto!

Zatoczył się, zionąc wonią rumu.

– Mnie tam za jedno, komu służę, Panu Bogu czy diabłu! – zarechotał. – Ale skoro tu jestem, nie będę wił się, błagał i szlochał na kolanach. Ja, kurważ mać, do końca życia będę chodził z podniesioną głową. I będę żeglował na tym przeklętym statku, dopóki nie przyjdzie po nas sam Lucyfer. I wam też tak radzę, kamraci!

Zatoczył się, wsparł na czymś ramieniu i nagle zamarł.

– Robert – rzekł i przetarł oczy. – Robercie? Co ty tutaj robisz? Co robisz z gromadą tych szelm i łajdaków? Co ty robisz na „Oprawcy”? Przecież ty nie zabiłeś nikogo. Nie wychędożyłeś dziewczki, nie poderznąłeś nikomu gardła... Przecież ty jesteś bez grzechu!

Piraci przyskoczyli do młodzieńca, patrzyli na niego, obracali dokoła, a w oczach kilku

najgorszych łotrów pojawiły się łzy.

– On nie zna grzechu – szepnął Atkins. – On nie zrobił nikomu nic złego.

– Żył dobrze z załogą!

– Zawsze pomagał!

– Nigdy nie zabijał!

– Modlił się, kamraci, sam widziałem, jak się modlił!

– Dobry był!

– Bez grzechu!

Rackham przedarł się przez tłum piratów. Stał oko w oko z Robertem.

– Posłuchaj – rzekł do sługi. – To wszystko prawda... Opuścisz ten statek, Robercie...

Wysadzę cię na ląd w łodzi. Odejdiesz i zapomnisz o nas.

– Ale, panie kapitanie...

– To rozkaz, słyszysz! Masz zejść na ląd! Inaczej powieszę cię na najwyższej rei!

Robert skurczył się.

– Opowiesz wszystkim o przeklętej załodze kapitana Rackhama – powiedział Morgan. – Opowiesz o „Oprawcy” pełnym powieszonych ciał. O okręcie widmie, przemierzającym oceany, aby siać grozę i zniszczenie...

– Ale ja...

– Opowiesz. Będzie o nas głośno. Opuścić szalupę!

Majtkowie rzucili się do łodzi. Dźwignęli ją i...

Nie podnieśli. Nadaremnie mocowali się z łodzią. Nie mogli podnieść jej w górę i spuścić na wodę.

– Co się dzieje? – jęknął Rackham. – Robercie, nie może być... Jak to? Czy ty...?

– Tak, kapitanie. – Stevenson spuścił wzrok. – Tak, popełniłem występki. Wybaczcie, panie.

– Co takiego zrobiłeś?

– Wtedy, w zamtuzie w Port Royal... Wziąłem twą sakiewkę, panie... Wybaczcie.

– Daj spokój, Robercie. Odpuszczam ci wszystko! Słyszycie! – ryknął Rackham prosto w niebo. – Opuuszczam mu kradzież złota!

Majtkowie chwycili za szalupę i... nie podnieśli jej.

Piraci spuścili głowy. Rackham zadrżał.

– Co mamy robić?

– Złodziei karze się w Port Royal tylko w jeden sposób – rzekł Robert. – Obcięciem lewej dłoni...

– Nie! – ryknął Morgan. – Nie zrobimy tego!

Robert zawinął lewy rękaw rajtroka.

– Ja... – zająknął się. – Nie ma innej rady. Inaczej nigdy nie opuszczę statku.

– Nie!

– Nie obcinajcie mu ręki!

– O Boże! – jęknął Rackham. – Nie każcie mi tego robić!

– Ja sam pójdę – rzekł Robert. – Zróbcie to, proszę.

– Nie, nie mogę.

Majtkowie znowu próbowali podnieść łódź. Nie udało się.

– Panie Morgan, może wy...

– Ja... Jak to?

– Wyście najtwardsi z całej załogi.

Morgan pokiwał głową. Opanował się i wydobył kordelas.

– Jesteś pewien, że tego chcesz, Robercie?

– Zróbcie to już! Kurwa! Ruszcie się! Przytrzymajcie mnie.

– Dobrze – powiedział łamiącym się głosem Morgan. – Dobrze...

Rackham nie patrzył, co się dalej stanie. Majtkowie podprowadzili Roberta do grotmasztu, do katowskiego pniaka...

Kapitan dał znak Morganowi. A gdy ostrze kordelasa opadło w dół, ukrył twarz w dłoniach.

Piraci pospuszczali głowy. Zdjęli kapelusze. Kilku uklękło...

Dwaj majtkowie bez trudu spuścili szalupę na wodę...

Później, gdy wypalono rany Robertowi, błądy Rackham stanął przed młodzieńcem. Spojrzał na jego wymizerowaną twarz. Na kikut ręki owinięty bandażem. A potem chwycił chłopca w ramiona, przytulił do siebie i zaszlochał.

– Robercie – wyszeptał. – Robercie...

– Nie płaczcie, panie – rzekł chłopak. – Nie stało się nic... Nic...

– Bądź dobry, Robercie. Jedź tam, gdzie ci powiedziałem, weź pieniądze i wracaj do Anglii. Kup sobie dom, posiadłość, miej żonę i dzieci i nigdy już nie wracaj na morze. Chodź co tydzień do kościoła, by wysłuchać kazania. Dawaj datki na biednych. Ufunduj szpital albo dwa. Rozdawaj jałmużny.

– A pomódl się czasem za nas – wyszeptał Levis.

– Nie bierz przykładu ze mnie – uśmiechnął się Morgan. – Bo „Oprawca” przyplynie po ciebie – zażartował.

– Nie czyń zła – wyszeptał Atkins. – Żyj spokojnie i bez lęku.

Kapitan wyciągnął zza pasa swój pistolet.

– Masz, Robercie, bierz na pamiątkę.

Marynarze sięgnęli do pasa. Każdy dawał, co miał – dublony, fajkę, kordelas. Robert przyciskał do piersi podarki zdrową ręką. I dziękował ofiarodawcom. Potem skłonił się marynarzom i swemu kapitanowi. I wsiadł do szalupy.

– Kapitanie! – krzyknął. – Pomogę wam! Uratuję! Przysięgam! Nie będziecie cierpieć wiecznie! Wróć po was... Wróć po was kiedyś i uwolnię!

Rackham patrzył, jak odpływa, jak pochłania go poranna mgła, jak kołyszą nim morskie fale. Takiego Roberta zapamiętał na resztę swego życia...

Epilog

Kapitan Robert Stevenson, zwany Diabłem z Tortugi, obracał w palcach inkrustowany srebrem pistolet kapitana Rackhama. Uśmiechnął się smutno do dawnych wspomnień.

Skłamał Rackhamowi!

Nie wrócił do Anglii. Za pieniądze wydobyte ze skrytki kapitana kupił mały slup, wynajął kilku zabijaków, a potem spróbował szczęścia.

Nie modlił się.

Nie kupił sobie posiadłości.

Nie chadzał co niedziela do kościoła posłuchać kazania pastora.

I jak łatwo można się też domyślać, nie odmawiał co wieczór paciorka.

W zamian za to powiesił kilku księży i spalił trzy klasztory na wyspach.

A zamiast pastorów i księży wszystkie dziwki z Tortugi szeptały jego imię. Piraci pili jego zdrowie, a jeśli złorzeczyli, to tylko szeptem i spluwając przez lewe ramię.

Żył jak chciał, nie modląc się, nie skamłając o miłosierdzie i litość, choć często jego wrogowie zebrali o łaskę u jego stóp.

Nigdy jej nie udzielał!

Diabeł z Tortugi obracał w ręku błyszczącą kulę. A potem jednym ruchem owinął ją we fletuch, wcisnął do lufy pistoletu i przybił stemplem. To była srebrna kula... Na duchy i upiory.

I na Rackhama.

Robert zamyślił się. Po tylu latach pozostał mu jeszcze jeden dług do spłacenia. Musiał zakończyć tułaczkę Rackhama. Wszak przysiągł, że to uczyni. A on zawsze dotrzymywał danego słowa.

Czekało go największe wyzwanie w jego życiu.

Robert wstał i sięgnął po kapelusz. Ruszył do drzwi, otworzył je kopniakiem. Szybko wyszedł na pokład, z przyjemnością wciągnął w płuca morskie powietrze.

Marynarze myjący pokład skulili się, niemal rozplaszczyli na deskach. Gniew Diabła z Tortugi bywał straszny.

– No, jak tam, powiesiliście ich? – zapytał bosmana.

– Sir, yes, sir!!!

– Mam nadzieję, że reszta tej hołoty nie będzie się już buntować. – Zerknął w górę, gdzie na rei kołysało się trzech wisielców. – Gdyby któryś protestował, osobiście wydrę mu oczy. Kogo wy mi zwerbowaliście, Hawkins? Samych paniczyków i sfrancuziałych galantów, co posrali się w gacie, gdy dowiedzieli się, że idziemy walczyć z „Oprawcą” i Rackhamem Przeklętym.

– Sir, yes, sir!!!

– Postawić żagle! I wywiesić naszą piracką flagę. I wydajcie chłopakom dodatkową porcję rumu.

Z łoskotem opuszczono żagle. Fregata „Royal Fortune” ruszyła szparko naprzód. Robert przeszedł na dziób. Oparł się o nadburcie obok relingu i zapatrzył w dal. Szli na spotkanie z okrętem widmem. Żeglował, aby spotkać się w boju z galeonem i wypełnić przeznaczenie. Aby wreszcie posłać na dno „Oprawcę” i jego przeklętą załogę.